

Spór o film:
Holland z otchłani

Wojna o Iran
dawno wybuchła

Tony Judt: trzeba
zabić tę trójcę

Wolno nam myśleć
o Wielkiej Orkiestrze

**PRZE
KRÓJ**

NR 3 (3472) / 16 STYCZNIA 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT

Biedni Polacy

patrzą na Afganistan



DEKS
1424

ISSN 0033-2488

03 >

OFF plus & camera
prezentuje

**bierzcie
i kręćcie**

**zbierz ekipę
i nakręć film**



Kamera f.d.c. 789/009/A7
Patent nr 757/56 Aleksander

**wygraj:
3x3000\$**

**weekend
w Krakowie**

www.idfilm.pl



plus
Ty plus festiwal

allegro
Short Film

tvn 24 **Relacja
z wydarzenia**

**PRZE
KROJ**

Założył w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Eile

„Przekrój” w sieci
OLAF SZEWZYK

Być może to dlatego, że bezwstydnie przeżarł się szarlotką (w konfrontacji z szarlotką Stasiak zawsze upadał nisko). A może zawiniła telewizyjna reklama z Krzysztofem Ibiszem, którą obejrzał przed snem? Może ekscytacja jutrem, kiedy to, jak co roku, miał kwestować z czerwonym serduszkiem na rzecz chorych dzieci? Staśka Brontozaura dręczyły tej nocy straszliwe koszmary. Zdało mu się, że zbłądziwszy, wkroczył na ulicę Wiązów biegnącą przez bagna Mordoru. W mroku rozblity zimne, sine ślepia. Zabułgotało, zaśmierdziało, do Staśka strwożonego tak oto zasyczało upiornym węzowym chórem:

Oto przybył otumaniony przez Owsia! Typowego postkomunistycznego lewaka! Rozrywkową odmianę Michnika! Manipulującego mediami cynika!

Sekciarskiego, knajackiego! Młodzież demoralizującego! Ile dał, a ile zabrał? Ilu Polaków nabral? Nik na niego nasłać trzeba! Wróg Polski Owsik nie pójdzie do nieba!

Wąja szkodliwy system wartości! Nie ma chrześcijańskiej miłości! Tanio się lansuje! Na rzecz Tuska knuje! Charytatywny terrorysta! Kto na tym cyrku korzysta?

- No chyba was pozająkował! - zdenerwował się, zazwyczaj spokojny nadzwyczaj, Stasiak. - Orkiestra się rozlicza co do grosza. Te pieniądze ratują życie! Dzieci nie są, psiakrew, polityczne!

Jak dobrze, że to był tylko zły sen. Takiego kału - pomyślał Stasiak - nie mógłby z siebie wydalić na jawie nawet najbardziej podły publicysta. Prawda? Prawda?... W każdym razie senny koszmar nie dopadnie nikogo na www.przekroj.pl, Twitterze, FB, G+, w iPodowych i androidowych edycjach „Przekroju”.

O swych snach i przebudzeniach piszcie na: redakcja@przekroj.pl

W TYM TYGODNIU

NIE PISZEMY O TYM...

...że najważniejszym wydarzeniem w Polsce jest incydent z przestrzelonym policzkiem, a nie mózgiem, pułkownika z prokuratury wojskowej w Poznaniu.

...że pokłosiem naszej najlepszej z polskich prezydencji w Unii Europejskiej jest nasze zasłużone miejsce w drugim szeregu państw europejskich, jeśli chodzi o rzeczywiste wpływy i decyzje. Na pociechę zawsze możemy przypomnieć, jak piękną ilością głosów (555) wybrano Jerzego Buzka na jego funkcję (jaka to funkcja?).

...że Kubica fiknął na śliskim i dalej nie

pojedzie, ...że Hołowczyc fiknął na żółtym i suchym, ale gna dalej, ...że Radwańska górą i dołem.

...że na naszej poprzedniej okładce znalazła się jedna nie ta litera co powinna. Przeczytanie jednej litery w tekście o niewyjaśnionej śmierci działaczki społecznej to jednak chyba aż nazbyt okrutna ironia losu. W sprawie litery było sporo głosów, w kwestii śmierci, fatalnego śledztwa, rzeczywistego problemu dotykającego lokatorów, przetrzymywania ciała zabitej przez prokuraturę przez blisko 10 miesięcy - niewiele.

Ot, naród gramatyków z jednej i nieuków (my - z naszą lub naszą - literą) z drugiej. A nuż wam w bżóh.

...że w Bydgoszczy obywatelski cud nad Brdą, gdzie sporo kompetencji w sprawach kultury prezydent oddał, likwidując Wydział Kultury, w ręce Rady Obywatelskiej. Bo jeszcze napiszemy.

...że eksperci, którzy decydują, które leki których firm trafią na listę refundowaną, podejmują te trudne decyzje w skrajnie trudnych warunkach wyjazdów sponsorowanych przez powyższe firmy w tak niesprzyjające miejsca na

ziemi jak Wyspy Kanaryjskie, Seszele, Nowy Orlean.

No, nie ma co zazdrościć, miejmy nadzieję, że są dodatki za uciążliwą pracę.

...że warszawska policja, ochraniając Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, rozbiła, brutalnie i wulgarnie interweniując, spotkanie z młodymi białoruskimi działaczami i twórcami w autonomicznej przestrzeni Syrena.

...że aby dostać fajną robotę, musimy coraz częściej pokazywać przyszłemu pracodawcy swój Facebook, o czym napisała fundacja Panoptikon.

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

*Paradoks ferii zimowych:
ich minusem bywa plus. Za oknem*

patroni medialni:

RMF

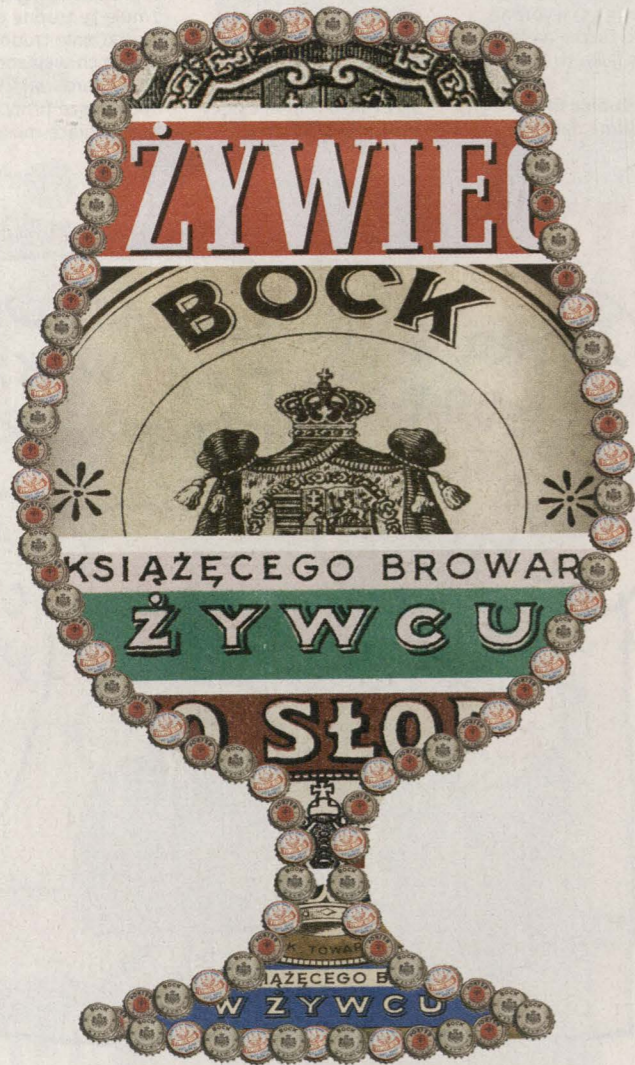
Classic

PRZEKROJ

onet.

tvn

Lewy Bock widziany w przekroju



Prawy Bock widziany w Przekroju

W 1856 roku powstał w Żywcu wyrafinowany, ciemny i esencjonalny Bock. Jego smak był w sam raz na długie zimowe wieczory. Takich wieczorów w tym roku nie zabraknie, dlatego odtworzyliśmy recepturę tego gatunku. Oto Bock w limitowanej serii.



Najlepsze przed Tobą. 

7 Słowo od wydawcy

PRZED WSZYSTKIM

- 8 **Polscy żołnierze w Afganistanie i Iraku** – o hańbie naszych czasów piszą Przemysław Wielgosz i Stefan Zgliczyński
- 14 **Amerycanie i Izraelczycy już toczą wojnę z Iranem.** Nie słyszeliście jeszcze strzałów? Nic dziwnego. Będą jedynie jej finałem. Tekst: Łukasz Wójcik
- 17 **Naprząd!** – felieton **Adama Ostolskiego**
- 18 **Jak zutylizować niepotrzebną załogę,** czyli Bojan Stanisławski o tym, że polskie prawo pracy nie przewiduje sankcji za barbarzyństwo pracodawców
- 20 **Państwo zamiast nauczyć się sensownie wydawać pieniądze, wycofuje się rakiem ze swoich obowiązków** i zrzuca niechciany ciężar na liczne fundacje, z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy na czele. Tekst: Hanna Gill-Piątek (o wośp pisze też Olaf Szewczyk, s. 3)

22 Grecki anarchista

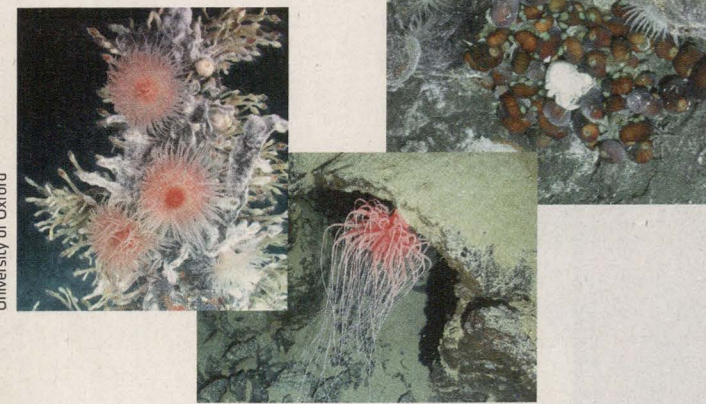
nie ma lekko – pisze Dionis Sturis. Jeśli wierzyć mediom, stoi za każdą demonstracją, potyczką z policją, wybitą szybą i każdym koktajlem Mołotowa. W zasadzie to chuligan, terrorysta, a niech tam – morderca

23 Z drugiej strony lustra – felieton **Anny Grodzkiej**



CYWILIZACJA

- 24 **O gorącym życiu pod lodem** – pisze Olaf Szewczyk
- 26 **Korzystaj z mocy ekranów**
- 27 **Też Pytanie!**



KULTURA

28 „W ciemności” Agnieszki Holland – debata nad polskim antysemityzmem



34 Dlaczego lektura tekstów Tony'ego Judta jest jak hłyk zimnej wody po długiej podróży przez pustynię? – pyta Jarosław Makowski

OTWÓRZ OCZY

38 Kim naprawdę była Violetta Villas – diwą czy dziwadłem? – pyta Julia Kubisa

RECENZJE I ZAPOWIEDZI

- 42 **Książki:** Mizuro o „Kocha, lubi, szanuje” Alice Munro
- 43 **Teatr:** Szabłowski o „Mszy” Artura Żmijewskiego
- 44 **Muzyka:** Gromnicka o „Old Ideas” Leonarda Cohena
- 45 **Film:** Oleszczyk o „Rzezi” Romana Polańskiego



ZAWSZE W PRZEKROJU

- 47 **Stopklatka**
- 48–50 **Rozmaitości** z krzyżówką, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy
- 3, 27, 50 **Raczkowski**

Działać prywatnie, myśleć publicznie



GRZEGORZ HAJDAROWICZ

Kiedy trzy lata temu kupowałem „Przekrój”, wydawało mi się, że w Polsce jest zapotrzebowanie na tygodnik opinii, w którym będzie sporo kultury, dłuższych, pogłębionych tekstów, taki polski „New Yorker”. I byli czytelnicy, którym to odpowiadało, ale wciąż niezbyt wielu.

Wkrótce grupa osób z mocnymi poglądami prawniczymi z sukcesem wypromowała na rynku tygodnik „Uważam Rze”. To, że w tak krótkim czasie ten tytuł stał się liderem sprzedaży i jednym z najważniejszych tygodników opinii, pokazało, jakie są możliwości na rynku wydawniczym. Sukcesem „URz” była jego wyrazistość i zdefiniowanie przekazu. To uświadomiło nam, że może „Przekrój” powinien pójść tą samą drogą, być wyrazistym tygodnikiem, tylko walczącym o inne wartości. Tygodnikiem, który stanowiłby ciekawą propozycję intelektualną dla najróżniejszych środowisk lewicowych, dla środowisk, które tak naprawdę nie do końca znajdują swoje treści w innych pismach.

„Przekrój” zawsze podnosił pewne tematy społeczne, może za mało wyraziście. I mam nadzieję, że Roman Kurkiewicz, który stanął na czele tego pisma, pójdzie w tym kierunku. Choć z wieloma poglądami red. Kurkiewicza stanowczo się nie zgadzam i pewnie ciężko byłoby nam walczyć po tej samej stronie barykad, wydaje mi się, że ta propozycja może okazać się intelektualnie ciekawa.

Jeżeli po sukcesie „Uważam Rze” podobny sukces odniesie „Przekrój” a la Kurkiewicz, to znaczy, że wyrazistość jest prawdziwą wartością. Czytelnik kupuje konkretny tygodnik zwykle po to, żeby się utwierdzać w swoim spojrzeniu na świat, który niebezpiecznie się radykalizuje. A myślę, że lepiej zmagać się słowem na łamach „Przekroju” czy „Uważam Rze” niż na ulicach.

Nie oceniam decyzji o wydawaniu odmiennych ideowo tygodników w kategorii biznesowego cynizmu. Pamiętam, jak mając 17 lat, tańczyłem pogo na punkowskim koncercie UK Subs z orłem w koronie w klapie. Może coś mi z tego zostało? Z drugiej strony, czy właściciel, który dba głównie o to, by jego tytuły reprezentowały wyłącznie bliskie mu poglądy, jest gwarantem stworzenia dobrych, niezależnych, obiektywnych mediów? Ja liczę na to, że te tytuły będą dawały kompletnie różne propozycje na postrzeganie świata.

Myszę, że w ostatecznym rozrachunku prywatny właściciel może okazać się nawet lepszym gwarantem pluralizmu niż publiczny nadawca, bo po pierwsze kieruje się chęcią zysku, więc będzie dbał o ekonomię i uważnie wydawał pieniądze, a po drugie jest niezależny od polityków i politycznych nacisków.

Liczę na mocną dyskusję. Chcę, żeby „Przekrój” nie bał się odważnych tematów. Papierowe gazety będą istniały, dopóki ludzie będą je kupować. Ale równocześnie coraz więcej ludzi będzie odpływać do świata elektronicznego. Jednocześnie cena tabletu przestaje być ceną zaporową. Niestety, dzisiejsza dyskusja o tabletach przypomina tę sprzed lat o telefonach komórkowych, kiedy niektórzy dziwili się, jak można wyjść z domu z telefonem i móc z niego zadzwonić z dowolnego miejsca.

Chcemy być atrakcyjni zarówno dla dotychczasowych miłośników tygodnika, jak i dotrzeć do młodszych, nowych czytelników i czytelników. Myszę, że zmieniający się „Przekrój” będzie spełniał naprawdę różnorodne oczekiwania. ●

MAREK RACZKOWSKI
NA SIÓDMĄ STRONĘ

HIBERNATUS

Jak wiemy, udało się przywrócić do życia ortawieka, ktowu od średniowiecza przebywał w stanie zautrojenia. Grupa specjalistów powoli wprowadza go w sytuację i tłumaczy mu zasady funkcjonowania współczesnego świata.



PRZEKROJ

GREMI GRUPA

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09, www.przekroj.pl. e-mail: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl **REDAGUJE ZESPÓŁ:** Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Piotr Witek, Joanna Grochowska, Katarzyna Czarnecka, Weronika Kostyrko **PRZED WSZYSTKIM:** wydarzenia@przekroj.pl, Łukasz Wójcik, Agnieszka Fiedorowicz, Joanna Woźniczko-Czczott, Joanna Dargiewicz-Rozek, Agata Jankowska, Marcelina Szumer **CYWILIZACJA OD ŚRODKA:** nauka@przekroj.pl, Olaf Szewczyk, Paweł Franczak **KONIEC Z KULTURĄ:** kultura@przekroj.pl, Jacek Tomczuk, Jacek Wakar, Marcin Sendek, Karolina Pasternak, Kuba Dąbrowski, Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Anna Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki, Bartek Winczewski **ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracuje Kaliber 45 **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Wojciech Birdej, Andrzej Figatowski, Maciej Ślusarczyk **FOTODZIENIA:** foto@przekroj.pl, Monika Szewczyk **KOREKTA:** Ling Brett **PROJEKT GRAFICZNY:** Kasper Skirgajło-Krajewski **ARCHIWUM:** Dominika Bok **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Paweł Wójcik **STRONA INTERNETOWA I IPAD:** Marcin Cichoński, Renata Wróbel



Okładka: Krzysztof Ignasiak

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
PRENUMERATA REDAKCYJNA
Cena prenumeraty 2012 r.:
Roczna: **166,40 zł**, półroczna: **83,20 zł**, kwartalna: **41,60 zł**
Zamówienie na prenumeratę należy składać:
e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61
Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195
PRENUMERATA KOLPORTERSKA
oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe
PRENUMERATA E-WYDANIA
www.egazety.pl
PRENUMERATA ZAGRANICZNA
Ruch SA, www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPAD
Cena abonamentu na iPad i w Internecie:
tygodniowy – **3,69 zł**, kwartalny – **30,75 zł**; roczny (z rabatami 30 proc.) – **99 zł**. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl

WYDAWCA: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa **PREZES ZARZĄDU:** Dariusz Leśniak
WICEPREZES: Maciej Kutak, Tomasz Wróblewski **PROMOCJA I MARKETING:** promocja@przekroj.pl
Jakub Maszkowski, Milena Ostólska **BIURO REKLAMY:** Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09 **KIEROWNIK ZESPÓŁU SPRZEDAŻY:** Filip Weichert – 22 463 01 88 reklama@presspublica.pl **DRUK:** RR Donnelley. Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian oraz skrótów w nadesłanych artykułach i listach.



Biedni Polacy patrzą na Afganistan

Bierzemy udział w przegranej wojnie, której okrucieństwo wobec odhumanizowanych ofiar spotęgowała technologia

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ

Polska opinia publiczna przypomina sobie o Afganistanie tylko przy okazji śmierci żołnierzy naszego kontyngentu w tym kraju. Nawet jednak wówczas jest to pamięć szczególna. Rząd, politycy, generałowie i największe media w takich przypadkach zgodnie celebrują polskie ofiary niczym nieuzasadnionego terroru. Zupełnie tak, jakby chodziło o poległych w obronie granic kraju, zaatakowanych przez krwiożerczego agresora. Biedni Polacy patrzą na Afganistan przez pryzmat naszej ulubionej dziedziny: narodowej martyrologii. Ma to zresztą ogromne znaczenie polityczne. Jako ofiary możemy spać spokojnie, celebrując swój status pokrzywdzonych i czyste sumienia. I nie zakłóci tego stanu obraz zrujnowanego i wciąż niszczonego kraju ani świadomość przemocy uprawianej tam także przez państwo polskie, ani tym bardziej wizerunek Afgańczyków.

Nie jesteśmy na tym polu odosobnieni: bycie ofiarą jest dziś w modzie, szczególnie wśród mocarstw szykujących się do wojny. Przecież także Stany Zjednoczone ogłosiły się ofiarą, gdy trzeba było uzasadnić agresję na Afganistan i Irak. Dyskurs ofiarniczy eksploatuje Izrael, całkiem skutecznie wmawiając światu, że to on jest główną ofiarą represji, jakie funduje Palestyńczykom.

Nie ma wątpliwości, że śmierć pięciu żołnierzy jest największą polską tragedią w Afganistanie. Nic z niej jednak nie zrozumiemy, a tym samym nie przyczynimy się do zapobieżenia kolejnym, jeśli nie dodamy, że wedle najostrożniejszych statystyk podawanych

przez ONZ każdego dnia pierwszej połowy minionego roku ginęło ośmiu afgańskich cywilów, z tego co najmniej czterech było ofiarami działań wojsk NATO. Liczba ta była większa o 15 proc. w stosunku do 2010 r., co oznacza, że wbrew wszelkim obietnicom dowódcy sił NATO amerykańskiego gen. Petrausa liczba cywilnych ofiar tej wojny wciąż rośnie.

Krwawy bilans stabilizacji

W ciągu dziesięciu lat zachodniej misji stabilizacyjnej w Afganistanie zginęło blisko 40 tys. cywilów, a wielokrotnie więcej odniosło rany. Co prawda „tylko” połowa z nich poniosła śmierć z rąk żołnierzy sił NATO, ale trudno nie zauważyć, że trwająca w tym kraju wojna jest wynikiem inwazji i okupacji prowadzonej przez te siły, a zatem to na nie spada odpowiedzialność za straty i zniszczenia (Afganistan pod rządami talibów był k rajem zniewolonym w wielu sferach życia, ale wolnym od wojny). Liczba ta może być zresztą znacznie większa, misja ONZ w Kabulu przyjęła bowiem kontrowersyjny sposób liczenia cywilnych trupów praktykowany wcześniej tylko przez armię USA: wszystkich mężczyzn, którzy w chwili śmierci nie mają przy sobie dokumentów tożsamości, kwalifikuje się jako talibów.

Warto przytaczać te liczby przy każdej okazji. Już choćby po to, by wreszcie powiedzieć jasno, że uczestniczymy w krwawej, brutalnej wojnie, a nie w żadnej misji stabilizacyjnej. Bo cóż to za stabilizacja, która owocuje nasileniem przemocy, walk, rozmnożeniem

gwałtów, rozlewaniem się konfliktu na nowe obszary i kraje?

I warto to robić, zanim zaczniemy wylizywać straty sił okupacyjnych i analizować wojskowe aspekty porażki ich misji. Zanim odkryjemy, że oddziały partyzanckie, które jeszcze osiem lat temu wegetowały przy granicy z pakistańskim Peszawarem, dziś opanowują kolejne prowincje na terenie całego Afganistanu, zmuszając NATO do kompromitującego odwrotu i opłacania się lokalnym watażkom w zamian za bezpieczeństwo na szlakach komunikacyjnych.

Do 2007 r. udział wojska polskiego w tej wojnie był symboliczny – 80 żołnierzy. Dopiero



Grudzień 2007 r. Polski patrol w prowincji Paktika, niedaleko miasta Szaran, gdzie wówczas znajdowała się największa polska baza wojskowa w Afganistanie

Seweryn Sobys

później, wraz z postępującą klęską NATO-wskiej strategii „stabilizowania kraju”, wysłano pod Hindukusz znaczące siły. Dziś to 2600 żołnierzy – jeden z większych kontyngentów w 150-tysięcznych siłach NATO.

Jednocześnie gwałtownie wzrosły koszty wojny obciążające polski budżet. Jeżeli w ciągu pierwszych pięciu lat (2002–2006) wyniosły one 107 mln zł, to w samym tylko 2007 r. wzrosły ponadtrzykrotnie. W zeszłym roku utrzymały się na poziomie 1,54 mld, a łącznie przekroczyły już 5 mld. Czy to dużo? Sporo, skoro nie tak dawno Ewa Kopacz, ówczesna minister zdrowia, a od niedawna marszałek Sejmu, zapowiadała w ramach polityki

oszczędności „niezbędne cięcia” w służbie zdrowia na sumę 500 mln zł. Być może gdyby nie półtora miliarda topione właśnie w Afganistanie nikomu nie przyszłoby do głowy szukanie oszczędności w Ministerstwie Zdrowia.

Zostawmy jednak pieniądze. Przecież jak nas zapewnijają przedstawiciele właściwie całej klasy politycznej, polska okupacja prowincji Ghazni służy wyższemu celom, których nie da się przeliczyć na gotówkę. Z całego ich zestawu pozostało jednak niewiele. Poszły już w zapomnienie demokracja, rozwój ekonomiczny i dyżurne prawa kobiet. Na placu boju pozostały właściwie tylko bezcenne doświadczenia wojskowe i zobowiązania sojusznicze.

Dyskurs o zobowiązaniach sojuszniczych, które wymusiły nasz akces do wyprawy na Kabul, można włożyć między bajki. Jak dotąd nikt, nawet ludzie z administracji George’a W. Busha, nie zdołał udowodnić, że Afganistan (a później także Irak) w jakikolwiek sposób zaatakowały USA. Oczywiście rządy państw NATO nie przejmują się takimi drobiazgami... I w pewnym sensie mają rację. Od lat przecież NATO modyfikuje swoją strategię, dostosowując ją do rosnących apetytów przywódców Zachodu. Wojna w Afganistanie jest najlepszym poligonem sprawdzającym zdolność paktu do realizacji projektów imperialnych w XXI stuleciu. W retoryce urzędników →

→ paktu i wspierających ich think tanków, uzasadniającej okupację tego kraju, znajdujemy cały zestaw haseł ze słownika geopolitycznej nowomowy: budowanie państwa, zarządzanie bezpieczeństwem, pomoc rozwojowa, wojna niesymetryczna.

Ukryta w nich strategia jest starsza od „nieograniczonej wojny z terroryzmem”. Stanowi wyraz postępującej od lat 90. minionego stulecia militaryzacji ładu światowego i towarzyszącej temu procesowi erozji prawa międzynarodowego oraz autorytetu instytucji stojących na jego straży. Zarazem wyraża triumf logiki bezpieczeństwa nad logiką demokratycznego samostanowienia społeczeństw.

Stare cele wpisujące się w politykę dążenia do ustanowienia monopolu imperialnych (kontrola nad surowcami, bronią masowego rażenia, handlem, finansami i ideologią) kojarzy się w Afganistanie z nowymi środkami ich realizacji. Wśród stawek, o które toczy się ta krwawa gra, warto wymienić panowanie nad szlakami komunikacyjnymi z bogatego w surowce rejonu proradzieckiej Azji Środkowej, okrajanie Iranu, kontrolę nad Pakistanem, a pośrednio także powściągnięcie regionalnych ambicji Chin i Rosji.

W myśl nowej strategii wypracowanej w kontekście wojny z terroryzmem i wojny afgańskiej NATO całkowicie zredefiniowało swą

wizję bezpieczeństwa. Od szczytu w Lizbonie jesienią 2010 r. nikt już nie mówi o prawdopodobieństwie konieczności obrony granic któregośkolwiek z państw członkowskich (w to mogą wierzyć już tylko zwolennicy wojny polsko-ruskiej pod flagą PiS). Pojawiło się natomiast roszczenie do zarządzania bezpieczeństwem na poziomie globalnym. To zaś oznacza, że NATO postrzega siebie w roli konkurencji dla organizacji takich jak ONZ. Podważając rolę demokratycznej struktury, jaką są Narody Zjednoczone, w utrzymaniu i ochronie pokoju na świecie pakt północnoatlantycki (który reprezentuje wyłącznie partycularne interesy swoich państw

członków) narzuca przeformułowanie podstawowych parametrów ładu międzynarodowego. Kluczowe dla ONZ pojęcie pokoju niepostrzeżenie ustępuje hasłu bezpieczeństwa, do którego odwołuje się NATO.

Wyjęci spod prawa

Konsekwencje tej strategii są przerażające. Wojna niesymetryczna, siłowe wymuszanie pokoju i temu podobne projekty milcząco zakładają kryminalizację przeciwnika. Jej skutki obserwujemy w Afganistanie, a także w miejscach takich jak Guantanamo czy Stare Kiejkuty kilka lat temu. Odbija się to także na znacznie większą skalę. Jak pokazała praktyka po

11 września, wojna przestaje być wydarzeniem o jasno określonych ramach czasowych i terytorialnych, uwalnia się z ryzów prawa i spod kontroli politycznej. Co więcej, samo pojęcie wojny znika pod fasadą operacji stabilizacyjnych, humanitarnych czy zmilitaryzowanego budowania państwa. Oczywiście wszystko po to, aby realna wojna mogła powrócić w odnowionej, bardziej niszczycielskiej i barbarzyńskiej postaci – jako stan wojny permanentnej, nigdy niewypowiedzianej i niekończącej się. Już nie jako clausewitzowska polityka realizowana innymi środkami, ale jako środek, który wypiera samą politykę. Pociąga to za sobą reakcję łańcuchową, na końcu której jest bezkarność zbrodniarzy w mundurach. Zaciera się granica między przeciwnikami armii zachodnich (w Afganistanie, Iraku, Somalii, gdziekolwiek) a wyjętymi spod prawa kryminalistami. Stąd już tylko krok do zatarcia granicy między wrogimi bojownikami a ludnością cywilną okupowanego kraju.

W tej sytuacji zabójstwa cywilów łatwo uznać za koszty uboczne, unikając oskarżeń o zbrodnie wojenne. Konwencje genewskie można spokojnie wyrzucić do kosza. Kryminalizacja przeciwnika i podważenie statusu ludności cywilnej pociągają za sobą odebranie im wszelkiej podmiotowości politycznej i pozwalają nie przejmować się zasadą samostanowienia narodów. W to miejsce pojawia się „zarządzanie” bezwolną, acz kłębłą populacją – dobrze znane także z neoliberalnej polityki ekonomicznej stosowanej na Zachodzie.

Zabójczy dystans i prywatyzacja

Geopolityczne i polityczne konsekwencje tej wojny przyczyniają się do upadku kultury prawa międzynarodowego i zastąpienia jej kulturą imperialnej przemocy. Tendencję tę dodatkowo wzmacniają nowe technologie zabijania, jak np. użycie samolotów bezzałogowych (dronów). Wbrew ich zwolennikom nie czynią one wojny bardziej humanitarną. Nie przyczyniają się do ograniczenia „strat ubocznych” wśród ludności cywilnej. Użycie dronów zasługuje na miano znaczącej innowacji, ale z zupełnie innych powodów. Poza całkowitą eliminacją zagrożenia dla żołnierzy biorących udział w działaniach wojennych za pośrednictwem tego sprzętu, a co za tym idzie – oferowaniem im bezcennego poczucia bezkarności, drony wprowadzają nieredukowalny dystans między żołnierzami a ich ofiarami. Technologia ta skutecznie dehumanizuje ofiary, redukując je do abstrakcyjnych i niemal zwiartualizowanych celów. To uwalnia siedzących przed ekranami operatorów joysticków,

którzy odpalają rakiety, od jakichkolwiek odruchów sumienia. W konsekwencji zabijanie staje się czymś lekkim i banalnym, niczym eliminacja przeciwników w grze komputerowej. O tym, jak straszne są skutki użycia dronów na masową skalę, świadczą doświadczenia operacji „Płynny Ołów” w Gazie na przełomie lat 2008 i 2009, w czasie której prawie połowa z 1400 palestyńskich ofiar straciła życie w wyniku ataków izraelskich dronów (w 80 proc. byli to cywile). Obraz ten potwierdzają najnowsze statystyki na temat efektów zastosowania dronów na granicy pakistańsko-afgańskiej.

Przedstawione w sierpniu ubiegłego roku przez brytyjskie media dane o ich atakach w samym tylko Pakistanie mówią, że od 2004 r. przeprowadzono ich 291, w tym 236 za prezydentury laureata Pokojowej Nagrody Nobla Baracka Obamy. Zginęło w nich co najmniej 2300 osób, w tym ok. 400–770 cywilów (170 dzieci). Z drugiej strony jak dotąd udało się ustalić dane tylko 126 bojowników zabitych przez drony w Pakistanie.

Innym przejawem wyjmowania wojny spod kontroli prawa jest jej prywatyzacja. Najemników jeszcze trudniej pociągnąć do odpowiedzialności. Po ekscesach ochroniarzy z zagranicy marionetkowy rząd prezydenta Karzaja wyprosił ich z kraju, czym zasłużył sobie na krytykę zachodnich mediów oburzonych faktem, że oddaje rynek usług wojennych podmiotom lokalnym na drodze korupcji (zupełnie jakby w Afganistanie pod rządami NATO istniały jakieś inne metody przyznawania kontraktów rządowych). Na kilka miesięcy przed interwencją Karzaja, w kwietniu 2010 r., było ich 100 tys., w tym ponad 30 tys. pod bronią.

Wojna w Afganistanie jest przegrana. Ale nie w sensie, o którym mówią eksperci wojskowi. Przegrali zwykli Afgańczycy. Nie oni ją rozpoczęli, ale to oni ponoszą największe ofiary i będą je ponosić także po odwołaniu okupantów. Przegrali także obywatele państw NATO, w których uderzą rykoszetem wypracowywane na „dalekich polowaniach” strategii bezpieczeństwa – niektóre ich elementy już stosuje się wobec protestujących przeciw skutkom kryzysu na ulicach miast USA i Europy. Przegrali mieszkańcy Globalnego Południa, którzy mogą się obawiać kolejnych najazdów w stylu przetręwanym w Afganistanie. Kto następny? Iran, Jemen, Wenezuela?

Nigdy wcześniej Polska nie wysłała tylu żołnierzy, ilu do Afganistanu. W szczytowym momencie służyło ich tam 2600



Hańba naszych czasów

„Bandytów odpowiedzialnych za śmierć żołnierzy będziemy ścigać aż do skutku. To sprawa honoru” – powiedział szef MON Tomasz Siemoniak po tym, jak w afgańskiej prowincji Ghazni zginęło pięciu polskich żołnierzy

Na dole: rok 2007. Ówczesny minister obrony narodowej Aleksander Szczygło wizytuje polską bazę Wazi Khawa w Afganistanie



U góry: gorący zwolennik współpracy wojskowej z Amerykanami prezydent Lech Kaczyński w bazie wojskowej Ghazni w kwietniu 2009 r.

STEFAN ZGLICZYŃSKI

Dla słabo zorientowanych dodam, iż „bandytami” nazywani są tu bojownicy walczący z oddziałami międzynarodowej koalicji, która od dziesięciu lat okupuje Afganistan. O tym, jak fatalnie się to kojarzy w Polsce, gdzie okupant hitlerowski „bandytami” nazywał członków niepodległościowego podziemia, przypominać nie muszę.

Na pytanie „Co Polacy robią w Afganistanie?” nikt, włącznie z nimi samymi, odpowiedzieć nie potrafi. Bo, pomijając brednie o „powinnościach sojusznicznych”, nikt, ale to nikt, nie potrafi dziś powiedzieć, po co Polska na długie lata zaangażowała się w kosztowną i krwawą wojnę w Afganistanie (z Irakiem sprawa była prostsza – liczyliśmy na sowite kontrakty w podbitym państwie, z których wyszły nici).

Kto odpowie za Afganistan?

A odpowiedzieć prędzej czy później będziemy musieli. Oczywiście, odpowiedzialni za wysłanie polskich wojsk okupacyjnych (po orwellowsku zwanych „stabilizacyjnymi”) do Afganistanu i Iraku – prezydent Kwaśniewski, premier Miller

czy minister Cimoszewicz – zapewne chcieliby, żebyśmy już dali spokój rozpamiętywaniu legalności ich decyzji (np. artykuł 117, paragraf 1 Kodeksu karnego mówi: „Kto wszczył lub prowadzi wojnę napastniczą, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 12, karze 25 lat pozbawienia wolności albo karze dożywotniego pozbawienia wolności”), zamordowanym przez Polaków cywilom afgańskim (np. w wiosce Nangar Khel) czy istnieniu w Polsce tajnych więzień CIA, w których torturowano podejrzewanych o terroryzm więźniów.

Otóż, nie zapomnimy wam tego. Za dużo było kłamstw, za dużo krwi. To nasz rodak, Zbigniew Brzeziński, postanowił pod koniec lat 70. „stworzyć Sowiетom nowy Wietnam”, hojnie wspomagając antykomunistyczną partyzantkę, u boku której walczył dzielnym Radek Sikorski. Kiedy w 1989 r. Rosjanie wycofali się z Afganistanu, USA triumfowały. Lecz wojna domowa trwała w najlepsze, rozprzestrzeniając się na Czeczenię, Kaszmir i Kosowo.

W 1996 r. do władzy w Kabulu doszli talibowie, wówczas jeszcze marginalna sekta islamskich fundamentalistów, którzy wspierani m.in. przez CIA zaprowadzili religijny

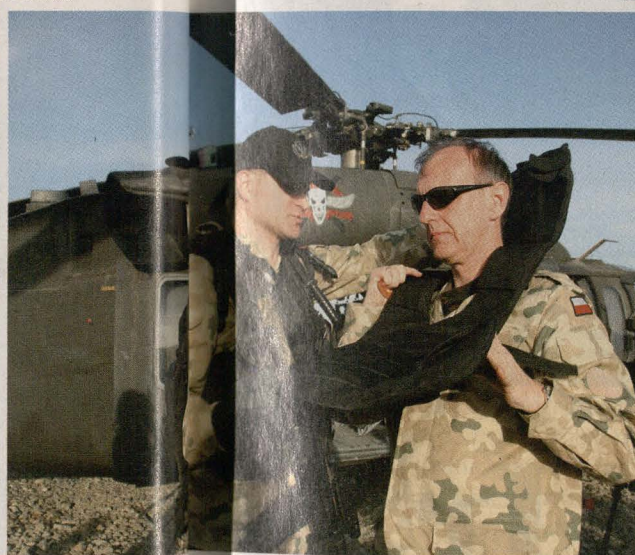
reżim terroru, niszcząc – kompletnie przemilczane przez „wolny świat” – zdobycze komunistycznego rządu, jak powszechnie szkolnictwo z udziałem dziewcząt czy uczestnictwo kobiet w życiu publicznym. Wprowadzono szariat, karząc kobiety za „niemoralne” prowadzenie się, karmieniem lub pogrzebaniem żywcem, zakazano słuchania muzyki, oglądania telewizji, „nieskromnego” ubioru itp.

Stanom Zjednoczonym i tzw. wolnemu światu ów „antykomunistyczny” postęp nie przeszkadzał dopóty, dopóki po zamachach 11 września nie doszły do wniosku, iż korzystając z pretekstu złapania domniemanego herszta Al-Kaidy, mogą na trwałe zainstalować się w strategicznym rejonie świata, w którym dotychczas nie miały swoich baz wojskowych.

Kiedy USA, z poparciem niemal wszystkich wolnych mediów i polityków „wolnego świata”, rozpoczęły naloty dywanowe na Afganistan, nazwane, znów rodem z Orwella, operacją „Trwała Wolność”, głównej i jedynej jakoby przyczyny tychże, a więc Osamy bin Ladena, już w Afganistanie najprawdopodobniej nie

było. Jak pretekst (fałszywy) dla zwycięzców przestaje być ważny zaraz po ataku, pokazał nam dobitnie przykład Iraku. Ale i w przypadku Afganistanu niedługo po interwencji świat dowiedział się z ust samego prezydenta Busha, że tak naprawdę nie o pojmanie bądź zabicie bin Ladena mu chodziło. Do dziś świat nie „wolny”, ale myślący, zachodzi w głowę, co było w takim razie przyczyną napaści?

Na dole: Bogdan Klich, jako minister obrony narodowej, w polskiej bazie Szarana w 2008 r. Jeszcze przed dymisją obiecywał, że będziemy w Afganistanie do 2014 r.



Na pewno blisko prawdy był jeden z najczystszych naszych polityków, minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, który uważał tłumaczył w typowy dla siebie sposób, że po upokorzeniu USA, jakim były zamachy na WTC, „musiała polać się krew”.

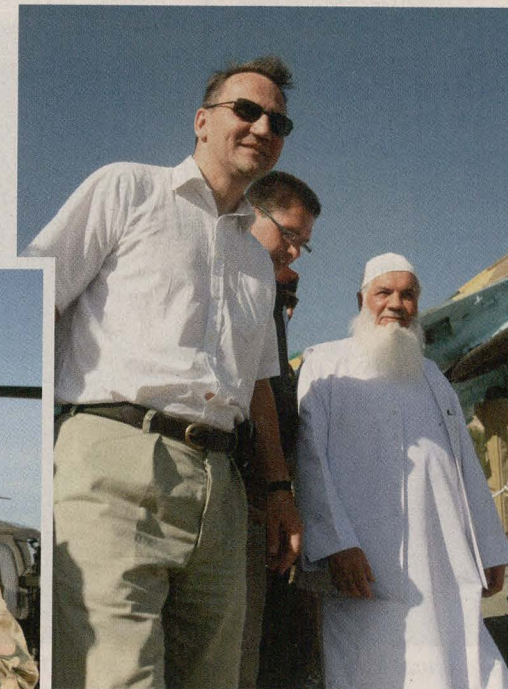
Opium wojny

Polała się krew. I leje się do dziś. Co roku amerykańskie bezzałogowe drony zabijają w Afganistanie i na granicy pakistańskiej blisko 2 tys. „talibów”, z których większość okazuje się później rodzinami biednych wieśniaków. To, co udało się Bushowi i jego współnikom, to spełnienie groźby „doprowadzenia z powrotem Afganistanu do epoki kamienia łupanego”.

Afganistan jest dziś rzeczywiście krajem z epoki kamienia łupanego, ale z jednym, istotnym wyjątkiem – od czasu amerykańskiej inwazji produkcja opium i haszyszu przeżywa prawdziwy rozkwit. W 2007 r. zebrano w Afganistanie ponad 9 tys. ton opium, czyli dwa

razy więcej niż wynosi zapotrzebowanie nań wszystkich narkomanów świata!

Rozkwit przeżywają również tortury, które stały się rutynowym sposobem nie tyle zdobywania informacji od „terrorystów”, ale zemsty i siania terroru. Torturują nie obrzydliwi terro-



U góry: sierpień 2011 r. Szef polskiego MSZ Radosław Sikorski w afgańskim Heracie. 26 lat temu pracował tym mieście jako dziennikarz

ryści, ale przedstawiciele „osi dobra”, za wiedzą i przyzwoleniem „demokratycznych” polityków. Kiedy zaraz po inwazji Amerykanie płacili po 5 tys. dol. za każdego złapanego „terrorystę”, wyłapywano tysiące ludzi „na sprzedaż” okupantom. Dziś ukazują się książki i filmy o uprowadzonych Bogu ducha winnych ludziach, torturowanych w zaprzyjaźnionych z USA krajach i latami przetrzymywanych w koszmarnych warunkach w amerykańskich więzieniach, m.in. w tym najślawniejszym – Guantanamo. Najgorsze, że ten koszmar wciąż trwa – mimo że wiadomo od dawna, iż przyniatająca liczba więźniów tej katowni nie ma nic wspólnego z terroryzmem, USA i ich łamiący przedwyborcze obietnice prezydent nie mają zamiaru ich uwolnić!

Anna Minkiewicz, która od lat pomaga Afgańczykom na miejscu, mówi, że żaden z celów, jakie wyznaczyła sobie okupacyjna koalicja, nie został zrealizowany (zob. „Le Monde diplomatique” – edycja polska, styczeń 2012). Wręcz przeciwnie. Obecna, ciesząca się

zauwaniem „wolnego świata” władza jest ściśle powiązana z mafią narkotykową, a kiedy wojsko niszczy narkotykowy plon, to jako rekompensatę za nasiona i nawóz mafia zabiera chłopom dzieci. Kolejnym problemem jest bezpieczeństwo – za talibów nie było terrorystycznych ataków samobójczych, a przedstawiciele organizacji pozarządowych czy ONZ podróżowali w miarę bezpiecznie. Dzisiaj przed podróżą sami Afgańczycy kasują z pamięci telefonów komórkowych numery znajomych, aby im nie zaszkodzić, gdy aparat wpadnie w ręce



U góry: rzecznik rządu Paweł Graś i premier Donald Tusk w grudniu 2011 r. podczas międzylądowania w polskiej bazie Ghazni

afgańskich bojowników czy żołnierzy NATO. Na porządku dziennym jest też „znikanie” bez śladu mężczyzn, tortury pod byle pretekstem, przemoc wobec kobiet i monstrualna korupcja na najwyższych szczeblach władzy.

Minkiewicz pisze również, jak NATO utrudnia pracę organizacjom cywilnym i pozarządowym, wkraczając na teren pomocy rozwojowej i... odbierając im fundusze. Wojsko, w tym polskie, zajmuje się szkoleniem lokalnych władz. Jest to o tyle groteskowe, że każdy kontyngent obcego wojska robi to po swojemu. I na pewno nie służy to deklarowanej „konsolidacji państwa”.

Doprawdy, trzeba być wyjątkowo podłym, aby mówić, że Afganistan po interwencji jest krajem lepszym niż przed nią. Dlatego kiedy zobaczyłem w telewizorze świąteczny program dotyczący problemów współczesnego świata z uczestniczącymi w nim gośćmi, przedstawionymi jako eksperci i autorytety – Kwaśniewskim, Cimoszewiczem i Sikorskim – zrobiło mi się zwyczajnie niedobrze...

MONDE
diplomatique

Dyrektor polskiej edycji „Le Monde diplomatique”, autor książki „Hańba iracka. Zbrodnie Amerykanów i polska okupacja Iraku 2003 – 2008” (Warszawa 2009).

Jerzy Lindor/PAP, Radek Pietruszka/PAP (2), Paweł Supermak/PAP, Leszek Szymanski/PAP



Maj 2011: Barack Obama przyjmuje premiera Izraela Benjamina Netanjahu w Gabinetce Owalnym. Prezydent USA przyjmuje również bezrefleksyjnie izraelskie pomysły na rozwiązanie irańskiego problemu

Teraz wojna o Iran

Amerycanie i Izraelczycy już toczą wojnę z Iranem. Nie słyszeliście jeszcze strzałów? Nic dziwnego. Będą jedynie jej finałem

ŁUKASZ WÓJCIK

Znany holenderski psycholog wojny doktor Joost Meerloo w latach 50. XX w. pisał, że strzelanie i zabijanie jest tylko ostatnim etapem działań wojennych. Według Meerloo wojna zaczyna się o wiele wcześniej, w ludzkich głowach. W książce „Delusion and Mass-Delusion” („Iluzja i masowa iluzja”) za przykład dawał lata 30. XX w. w Niemczech. I tłumaczył: jeśli mówi się o wojnie wystarczająco często i długo, ludzie przyzwyczajają się do niej.

Wojna zostaje uwewnętrzniona, przestaje być kontrowersyjna. Tak jak w przypadku wychowywania dzieci. Z początku normy społeczne wydają im się zupełnie obce i zewnętrzne. Z czasem jednak to, co narzucone, dziecko przyjmuje jako własne. Tak samo ze stanem wojny – jeśli dojdzie do jej uwewnętrznienia, to jej nieuchronność staje się oczywista, znika wszelka racjonalność. W takich okolicznościach pierwsze strzały nie są początkiem, ale jedynie końcowym rezultatem.

Amerykańscy i izraelscy zwolennicy ataku na Iran zachowują się tak, jakby skrupulatnie

czytali doktora Meerloo. Od niemal 20 lat stosują tę samą formułę – przedstawiają zagrożenie jako bezpośrednie i wciąż rosnące, a potem starają się przekonać wszystkich, że jeśli nic nie zrobią, to skończy się to tragedią na niewyobrażalną skalę. Ten etap wymaga jak największej liczby katastroficznych projekcji przyszłości. Drugi krok to wmówienie słuchaczom, że tylko wcześniejsza interwencja może powstrzymać nadchodzący Armagedon.

Mechanizm opisany przez Joosta Meerloo zaczyna właśnie działać w USA. Wśród amerykańskich polityków i komentatorów trudno jest znaleźć przeciwników wojny z Iranem, a tym ostatnim przykleja się etykietkę nieracjonalnych mięczaków. Noworoczne zamieszanie w sprawie kolejnych amerykańskich sankcji nałożonych na Teheran oraz napięcia wokół cieśniny Ormuz tylko ten proces potwierdzają.

Wojna z Iranem już się zaczęła. Strzały będą tylko jej finałem.

Strategia uwewnętrzniania

Tak jak w przypadku Iraku. Po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej w 1991 r. Saddam Husajn został przez Amerykanów uznany za pokonanego i rozbrojonego. Ale już pod koniec lat 90. nagle stał się według Williama Cohena, ówczesnego sekretarza obrony USA, „największym zagrożeniem dla całego świata”. Amerykańscy neokonserwatyści przekonywali wówczas, że Husajn zmiecie Izrael z powierzchni ziemi za pomocą broni jądrowej, którą – rzecz jasna – posiada.

Nieśmiałe sugestie Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, że nie ma dowodów na to, iż Irak nią dysponuje, zagubiły się pomiędzy setkami katastroficznych ekspertyz i apeli o natychmiastową reakcję. Atak na World Trade Center w 2001 r. potwierdził w oczach amerykańskich neokonserwatystów bliskie związki Husajna z Al-Kaidą.

Na końcu tego łańcucha projekcji, nieuzasadnionych założeń i wydumanych wniosków znalazło się przekonanie o nieodwracalności wojny prewencyjnej przeciwko Irakowi – aby uniknąć ataku nuklearnego, USA musiały same natychmiast zaatakować. Zaraz po zamachach z 11 września taką opinię według Instytutu Gallupa poparło ponad 61 proc. Amerykanów. – Wtedy już dawno byliśmy na wojnie – przekonuje Anthony Cordesman z waszyngtońskiego Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych. – Wydawała się ona wówczas zupełnie naturalnym krokiem. Głosy przeciwu odrzucono jako nieracjonalne.

Strategia uwewnętrzniania wojny wobec Iranu trwa w Ameryce od 30 lat. Już w 1984 r. amerykański periodyk wojskowy „Jane’s Defence Weekly” przekonywał, że budowa irańskiej bomby jądrowej „wchodzi w ostatnią fazę”. Później grupa senatorów z Alanem Cranstonem na czele przygotowała raport, w którym twierdzono, że Teheran będzie miał bombę w dwa lata.

Na początku lat 90. do ataku na ajatollahów przyłączył się Izrael, mimo że wcześniej to państwo doskonale współpracowało z syryjskim reżimem. W 1992 r. obecny i ówczesny premier Izraela Benjamin Netanjahu mówił do kolegów ministrów, że Iran za trzy- pięć lat będzie w stanie wyprodukować bombę oraz że to zagrożenie „musi być wyeliminowane przez międzynarodową koalicję, kierowaną przez USA”. Jeszcze w tym samym roku w raporcie amerykańskiego Kongresu znalazło się stwierdzenie, że „Iran na 98 proc. ma już wszystkie

elementy potrzebne do skonstruowania trzech bomb jądrowych”.

W 1995 r. „The New York Times” twierdził, że tylko pięć lat dzieli nas od irańskiej bomby jądrowej. W 1997 r., że jeszcze... pięć lat. W 1998 r. ta sama gazeta przekonywała, że Iran już ma bombę, ale jeszcze nie zbudował raket, które mogłyby ją przenosić.

Najnowszy etap tej strategii rozpoczął się w listopadzie 2011 r. wraz z publikacją raportu Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA). Jego autorzy wyliczają całą litanię irańskich przewinień: kupowanie materiałów i surowców, które mogą posłużyć do budowy bomby, rozwój produkcji materiałów nuklearnych, wielokrotne próby nielegalnego zakupu planów konstrukcyjnych bomby i prace nad własnym projektem.

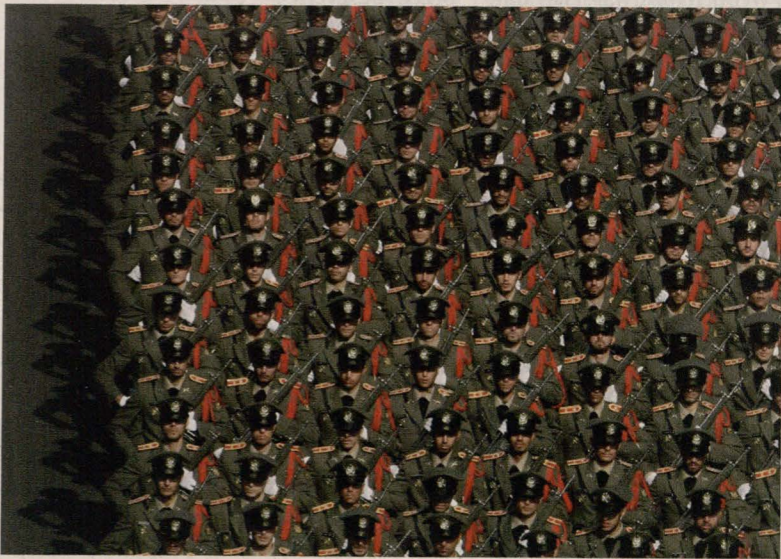
Chwilę po publikacji dokumentu największe tytuły prasowe w Stanach Zjednoczonych nie miały żadnych wątpliwości. Tygodnik „Time” pisał, że eksperci agencji „zebrali całą masę nowych dowodów, które potwierdzają najgorsze przypuszczenia”. Cytowany anonimowy ekspert podsumował, że „poziom szczegółowości raportu jest niesamowity”, i dalej: „Iran pokonał już wszystkie przeszkody na drodze do budowy bomby jądrowej”. – Każdy cierpliwy internauta może łatwo sprawdzić, że wszystkie bez wyjątku twarde informacje zawarte w listopadowym raporcie pochodzą sprzed 2003 r., kiedy to Iran ujawnił swój program atomowy i wpuścił do siebie kontrolerów MAEA – tłumaczy Robert Kelley, inżynier jądrowy ze Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI). – Jednocześnie wszystkie fragmenty dotyczące okresu po 2003 r. dotyczą prognoz i symulacji komputerowych. Nic więcej tam nie ma.

W konkluzjach znalazło się kluczowe dla opracowania zdanie (podkreślone przez samych autorów): „Istnieje przeświadczenie, że pewne działania, istotne z punktu widzenia budowy broni jądrowej, były kontynuowane po 2003 r., a niektóre z nich mogą być wciąż prowadzone”.

Niebezpieczny pokój

Mimo tak wątpliwych podstaw w grudniu przez amerykańską i izraelską prasę przetoczyła się fala opinii i „ekspertyz”, których tezy można by ograniczyć do trzech wątków:

- że Iran już ma lub zaraz będzie miał bombę – choć nie ma na to żadnych dowodów. W latach 40. XX w. Amerykanom wystarczyły dwa lata, aby ją zbudować. Jeśli Iran po 40 latach swojego programu jądrowego wciąż jej nie skonstruował, to może wcale nie chce tego zrobić?
- że uzbrojony w bomby Iran to murowana geopolityczna katastrofa – też nie wiadomo dlaczego. Nigdy jeszcze (poza Hiroszimą i Nagasaki) broń jądrowa nie została wykorzystana ofensywnie. Gdyby Iran to zrobił, byłoby to czyste samobójstwo. Dotychczas bomba służyła wyłącznie do odstraszania, dlatego na przykład Amerykanie nie zaatakowali jeszcze Korei Północnej. W tym sensie irańska bomba byłaby „katastrofą geopolityczną” dla Amerykanów tylko przy założeniu, że mają oni prawo zaatakować każdy kraj na świecie. Iran odstraszalby bombą.
- i wątek ostatni, najważniejszy z punktu widzenia procesu uwewnętrzniania wojny: że zaniechanie ataku wyprzedzającego będzie bardziej niebezpieczne niż pokój. Skupiając się na tym ostatnim punkcie, wojenni „uwewnętrzniając” nie dostrzegają →



Iran nie potrzebuje broni jądrowej, bo i bez niej ma najpotężniejszą armię konwencjonalną w regionie. Byłaby mu ona potrzebna tylko do obrony przed USA i Izraelem

Office of the Supreme Leader/AP/East News

→ sprzeczności argumentów. Z jednej strony, gdy próbują uzasadnić atak prewencyjny na Iran, przekonują o potędze reżimu ajatollahów, o przemożnych irańskich wpływach w regionie, bezwzględności i nieobliczalności tego teokratycznego reżimu, aby w ten sposób przekonać decydentów, że trzeba działać natychmiast, zanim będzie za późno.

Z drugiej strony argumentują, że przeprowadzenie takiego ataku to będzie „bułka z masłem”. Nagle okazuje się, że irańskie zdolności bojowe są mizerne, a sami ajatollahowie nie są jednak tacy nieracjonalni i powstrzymają się od odwetu. Twierdzą, że to będzie szybka akcja, przeprowadzona w białych rękawiczkach, przy minimalnych stratach własnych.

Państwo współczesnych nazistów

Dla jasności – zwolennicy takiego rozwiązania otwarcie nawołują do wojny prewencyjnej, mimo że jedyny organ mogący zalegalizować takie działania (Rada Bezpieczeństwa ONZ) nigdy się na to nie zgodzi. Jest to publiczne namawianie do łamania prawa międzynarodowego. Ale Amerykanów i Izraelczyków nie trzeba do niczego namawiać, bo robią to od lat, naruszając suwerenność Iranu. Rządy USA i Izraela wielokrotnie sabotowały irańskie instalacje wzbogacania uranu. W 2010 r. izraelski wirus komputerowy Stuxnet wyrządził w nich tak wielkie szkody, że pierwszy raz Irańczycy sami donieśli o ataku.

Ofiarami byli też naukowcy. Od 2007 r. w niewyjaśnionych okolicznościach życie straciło co najmniej siedmiu irańskich fizyków jądrowych. Ostatni z nich, Mostafa Ahmadi Roszan, zginął w zeszłą środę od wybuchu bomby przyklejonej do jego samochodu przez zamaskowanych motocyklistów. Kilka miesięcy temu potężny wybuch rozerwał skład amunicji pod Teheranem (17 ofiar śmiertelnych). Jednocześnie amerykańskie drony, prowadząc misje szpiegowskie, systematycznie naruszają irańską przestrzeń powietrzną. W grudniu Irańczycy zestrzelili jeden z nich, co wywołało oburzenie Waszyngtonu.

Pomimo tych wszystkich okoliczności to Iran w amerykańskiej i izraelskiej prasie oraz w kołach rządowych permanentnie określany jest mianem „agresora” (choć nie zaatakował innego kraju od 250 lat), „brutalnej dyktatury” (z pewnością nie jest to Szwajcaria, ale Amerykanie mają na koncie wspieranie gorszych reżimów) czy w końcu „państwa współczesnych nazistów” (w czym bryluje prasa izraelska).

Natomiast Amerykanie i Izraelczycy są prezentowani wyłącznie jako niewinne, kochające pokój ofiary. Oczywiście Stany Zjednoczone

nie zestrzeliłyby irańskiego drona, przelatującego z misją szpiegowską nad Bostonem. Ten relatywizm moralny doskonale opisał w swoich „Notatkach o nacjonalizmie” George Orwell: „Jakiegokolwiek działania są godne pochwały albo potępienia nie ze względów merytorycznych, ale w zależności od tego, kto ich się dopuścił. Czy byłyby to tortury, branie zakładników, czy praca przymusowa, masowe depor-

W Iraku, za zachodnią granicą, Amerykanów jest coraz mniej, ale zostanie ich tam wystarczająco wielu, aby obsłużyć bazy wojskowe, doskonale nadające się do ataków na irańskie miasta i ośrodki przemysłowe. Na północnym zachodzie jest Turcja, wciąż bliski sojusznik Ameryki i członek NATO. Na północ od Iranu Amerykanie stacjonują w Turkmenistanie i Kirgistanie.



„Aby zakończyć wojnę, ludzie muszą uderzyć” głosi slogan na budce, ustawionej w grudniu przed brytyjskim Parlamentem

tacje, uwięzienie bez procesu, czy fałszerstwo, zabójstwo, czy bombardowanie cywilów – nie ma takiej okropności, która nie zmienia swojego moralnego koloru, gdy popełniana jest przez „naszych”.

Być ajatollahem

Zmieńmy więc na chwilę strony i uwewnętrznijmy sobie tę irańską. Wyobraźcie sobie, że jesteście ajatollahem. Siedzicie na kolorowym dywanie, popijacie herbatę i patrzycie na wielką mapę Bliskiego Wschodu, przypiętą pinezkami do ściany. Wpadacie w przerażenie.

Iran jest okrążony. Za wschodnią granicą w Afganistanie ponad 100 tys. amerykańskich żołnierzy ugania się za talibami, ale niewiele trzeba, aby zaczęli się uganiać za ajatollahami. Dalej na wschód jest Pakistan – państwo, w którym poza głowicami jądrowymi już niewiele działa. Fundamentalisci islamscy, którzy w każdej chwili mogą tam przejąć władzę, jeszcze bardziej od Amerykanów nienawidzą irańskich ajatollahów i ich szyckiej herezji.

Zatoka Perska od kilkudziesięciu lat jest w zasadzie amerykańskim jeziorem – bazy „Wielkiego Szatana” są między innymi w Bahrajnie, Kuwejcie, Zjednoczonych Emiratach Arabskich, a 5. Flota bez przerwy mieli wody zatoki. Nieco dalej jest jeszcze Izrael ze swoim ściśle tajnym arsenałem nuklearnym i bogatą historią uderzeń wyprzedzających na swoich sąsiadów.

Tylko w ostatniej dekadzie Izrael lub Amerykanie prewencyjnie zaatakowali Afganistan, Irak, Pakistan, Somalię, Jemen, Libię, Liban, Sudan, Syrię, Zachodni Brzeg Jordanu i Gazę. A trzeba jeszcze do tego dołożyć liczne tajne akcje na terytorium Iranu.

Już sam fakt, że Irańczycy ajatollahowie w takich okolicznościach wciąż trzymają nerwy na wodzy, bardziej ich predestynuje do Pokojowej Nagrody Nobla niż Baracka Obamę. To oni powinni ją dostać, jeśli do końca roku wojna z głów Amerykanów i Izraelczyków nie przemiesza się w okolice Teheranu i innych irańskich miast.

Nie tylko marihuana



ADAM OSTOLSKI
Autor felietonu
jest politykiem Partii Zielonych

Co w najbliższych latach uda się wprowadzić w Polsce racjonalną politykę narkotykową? Nowe rozdanie po ostatnich wyborach daje szansę na przełamanie impasu. W Sejmie pojawiła się partia, która nie boi się podejmować tego tematu. Jednak zwolennicy reformy polityki narkotykowej stąpają po grząskim gruncie. Nieostrożne ruchy mogą sprawić, że nawet drobne zmiany natrafiają na nieprzekraczalny opór.

Kiedy w grudniu klub Ruchu Palikota zapowiedział, że zamierza zaproponować wprowadzenie do prawa tabelę wartości granicznych dla różnych substancji, w tym heroiny, wybuchła histeria. Przedstawiciele innych partii oraz część publicystów zapalali świętym oburzeniem, którego intensywność była odwrotnie proporcjonalna do poziomu zrozumienia, o co chodzi. Niestety, także rzecznik klubu Ruchu Palikota, Andrzej Rozenek, dopytywany przez dziennikarzy o sens takiej propozycji, nie potrafił tego wyjaśnić. A chodzi o rzecz prosta: tabela to zapisana w prawie definicja tego, co w przypadku różnych narkotyków oznacza określenie „niewielka ilość”. To rzecz jasna – tyle, ile opłaca się posiadać na własny użytek, co znaczy, że człowiek zatrzymany z narkotykiem prawdopodobnie nie jest jego dilerem, lecz konsumentem. Karanie zaś konsumentów nie ma sensu bez względu na to, czy mamy do czynienia z marihuaną, czy heroiną.

Ze społecznego punktu widzenia istotniejsze od rozróżnienia na miękkie i twarde narkotyki jest dostrzeżenie, że mamy do czynienia z dwoma rodzajami użytkowników. Jedni zażywają narkotyki rekreacyjnie, inni zaś są od nich uzależnieni. W przypadku osób uzależnionych karanie za samo posiadanie narkotyków oznacza na ogół tyle, że uniemożliwia im się skuteczne leczenie oraz zwiększa ryzyko, że zarażą się np. wirusem HIV czy HPV. Przy czym im twardszy narkotyk, tym większy odsetek użytkowników będą stanowić ludzie uzależnieni, a więc tym większe spustoszenie powoduje karanie ich za posiadanie. Dlatego wprowadzenie tabeli ani nie oznacza krokiem w tym kierunku. Zaś fakt, że w jednej tabeli znajdują się różne narkotyki, nie oznacza, że państwo ma mieć do nich taki sam stosunek. Polityka narkotykowa to dla wielu ludzi sprawa życia i śmierci, dlatego te kwestie powinny być przedmiotem pogłębionej i rzetelnej debaty, a nie rytualnych przepychanek między partiami.

Jakie są dziś w Polsce szanse na taką debatę? W kontekście wejścia do Sejmu aktywisty Ruchu Wolne Konopie wydają się one większe, bo zwolennicy liberalizacji prawa w odniesieniu do marihuany nie będą już musieli się dobijać do parlamentu z ulicy. Ale zarazem oznacza to nowe ryzyko – że o wszystkich narkotykach zacniemy teraz myśleć przez pryzmat marihuany. Jest ona jednak narkotykiem dość szczególnym. I chociaż jej nadużywanie nie jest obojętne dla zdrowia, z pewnością jest ona mniej szkodliwa niż tytoń i alkohol.

Większość ludzi wzdrygnęłaby się na pomysł, żeby w podobny sposób potraktować heroinę, amfetaminę czy dopalacze. I słusznie. A jednak potrzebna jest również reforma polityki narkotykowej w odniesieniu do nich. Bo także w przypadku tych substancji obecna represyjna polityka dramatycznie zawodzi. I to właśnie one stanowią rzeczywiste wyzwanie i test dojrzałości klasy politycznej. Poważna polityka narkotykowa zaczyna się bowiem wtedy, kiedy od dyskusji „karać czy

nie karać” przechodzimy do rozmowy o tym, jakie instytucje musimy zbudować. Na przykład w Portugalii cele polityki narkotykowej są te same, co w systemach bardziej tradycyjnych: chodzi o zmniejszenie konsumpcji narkotyków w społeczeństwie. Portugalscy politycy uznali jednak, że zamiast karać ludzi za ich zażywanie, lepiej na różne sposoby zniechęcać. Służą temu specjalne „komisje odwodzenia”, dysponujące różnymi sankcjami. Rozwiązanie pozostaje paternalistyczne – państwo mówi ludziom, że nie powinni brać narkotyków, i podejmuje cały szereg różnych działań, aby to od nich wyegzekwować. Zarazem jednak dba o to, aby polityka zniechęcania prowadzona była z poszanowaniem praw człowieka i żeby ludzie uzależnieni mieli szansę na leczenie. Portugalczycy stawiają sobie mniej więcej te same cele, jakie deklarują zwolennicy represyjnej polityki narkotykowej – tyle że są znacznie skuteczniejsi w ich osiągnięciu.

Inaczej wygląda to w Szwajcarii. Szwajcarzy wysunęli na pierwszy plan politykę zdrowotną i porządek publiczny. W miastach istnieją specjalne ośrodki zajmujące się „redukcją szkód”. Można w nich pobrać dawkę metadonu lub – w przypadku osób, którym on nie pomaga – medycznej heroiny. Można w nich wstrzyknąć sobie narkotyki w higienicznych warunkach, korzystając z czystych strzykawek. Użytkownicy dopalaczy mogą w laboratorium przetestować ich skład. Również Szwajcaria osiąga cele, które sobie postawiła: zmniejszenie zagrożeń dla zdrowia towarzyszących używaniu narkotyków i zmniejszenie przestępczości wśród użytkowników. Czy Polskę stać na podobne rozwiązania?

Dyskusja o budowaniu instytucji to sprawa bardziej skomplikowana niż spór o to, czy odkręcić, czy może przykręcić śrubę. Może więc być dobrym testem dla naszych polityków. Budowanie instytucji to również konieczność znalezienia odpowiednich środków w budżecie. A to jest jeszcze trudniejsze, bo wymaga zrozumienia, że takie wydatki to inwestycja w nasze zdrowie i bezpieczeństwo.

Jak zutylizować niepotrzebną załogę

Polskie prawo pracy nie przewiduje sankcji za barbarzyństwo pracodawców. Praktyki zarządu lubelskich zakładów dowodzą, że właściciel może dziś wszystko

BOJAN STANISŁAWSKI

Lublin. Ulica Kunickiego, niedaleko budynku dworca PKP oczekuje niewielka grupa ludzi. Duży, biały namiot, koksownik i trochę flag ze związkowymi emblematami. Na barierkach wiszą transparenty. Protestujący to byli pracownicy Lubelskich Zakładów Przemysłu Skórzanego. W prezencie noworocznym kurierzy dostarczyli im wypowiedzenia. Produkcja została przeniesiona do Czech.

Historia pracowników LZPS sp. z o.o. i ich zakładu pracy jest standardowa, czyli zgodna z zasadami polskiej transformacji, a więc systematycznym zamykaniem zakładów, które w PRL pełniły ważną rolę.

Jeszcze przed zakończeniem II wojny światowej – w sierpniu 1944 r. – w ówczesnej Fabryce Obuwia w Lublinie ruszyła produkcja na potrzeby armii polskiej. 15 lat później, po fuzji z zakładami garbarskimi, powstają Lubelskie Zakłady Przemysłu Skórzanego – jeden z najważniejszych ośrodków przemysłu lekkiego w kraju. Odbiorcami obuwia z LZPS były praktycznie wszystkie służby mundurowe. W latach 70. następuje dalszy rozwój, w skład przedsiębiorstwa włączane są kolejne zakłady w Lublinie i Bychawie.

Rok 1992 przynosi przekształcenia własnościowe. Część zakładów odpada (tudzież „usamodzielnia się” – jak piszą wówczas media), 30 marca powstaje jednoosobowa spółka Skarbu Państwa. Zaraz później zaczynają się pierwsze zwolnienia. Skomplikowana inżynieria kapitałowa nie ustaje. W 2007 r. powstaje grupa Protektor, z której później znów wydzielone zostają LZPS – jako spółka córka.

– Restrukturyzacji dokonywano już w latach 80., ale katastrofa zaczęła się po roku 1990. Zwolnień dokonywano cyklicznie i to wszelkich – grupowych, indywidualnych... – Obawa przed nimi stała się naszą codziennością. Jeszcze w 1989 r. pracowało tu ponad 1500 osób. Byli garbarze, kaletnicy, szewcy... Szkoda wyliczać. 30 grudnia 2011 r., gdy doszło do tego całego barbarzyństwa, było nas już tylko 251 – mówi Jolanta Wojciechowska, przewodnicząca OPZZ-owskiego związku w LZPS. Protestują wspólnie z organizacjami należącymi do „Solidarności” i Forum Związków Zawodowych.

Wypowiedzenia od Dziadka Mroza

Związkowcy wprawdzie próbowali protestować przeciwko zwolnieniom, ale szybko okazało się, że alternatywą będzie likwidacja zakładu. Chcieli ocalić tych w najtrudniejszej sytuacji. W 2010 r. doszło



„Ludzie śmieci” nie dali za wygraną – byli pracownicy lubelskiej fabryki wyszli na ulicę

– przy okazji kolejnej transzy – do sporu zbiorowego; udało się nawet wywalczyć podwyżki. Miarka przebrała się 30 grudnia 2011 r.

– Gdy tego dnia kończyliśmy pracę, upewniałam się jeszcze, czy wszystko jest w porządku. Rozmawiałam z przedstawicielami zarządu, składaliśmy sobie serdeczne noworoczne życzenia. Dostałam zapewnienie, iż produkcja będzie utrzymana. „Pani Jolu, nie ma problemu, widzimy się w styczniu w pracy” – dokładnie takie słowa usłyszałam 30 grudnia o godz. 14.45 od szefowej działu kadr. Przekazałam to załodze – mówi Wojciechowska.

Tymczasem późnym popołudniem do mieszkań pracowników zawitali kurierzy. 144 osobom doręczyli wypowiedzenia umów o pracę

i specjalne pisma zawiadamiające o likwidacji zakładu. Szok mieszał się z niedowierzaniem. Sylwestrowy weekend upłynął pod znakiem żalu i narastającego gniewu.

Kiedy 2 stycznia pracownicy wrócili do zakładu pracy, zastali policyjne barierki i szpaler gotowych do rozróby ochroniarzy. Przed wejściem gromadziło się coraz więcej osób, doszło do pierwszej szarpaniny.

Przywódcy związkowi chcieli wejść do swoich biur na terenie zakładu. Nie wpuszczono ich. Nie pozwolono wejść także interweniującym posłom z SLD i Ruchu Palikota. Związkowcy domagali się natychmiastowego spotkania z zarządem spółki i likwidatorem. Oni jednak milczeli. Grupa kilkudziesięciu pracowników postanowiła wówczas siłą przedrzeć się przez kordon ochroniarzy i fizycznie wymusić takie spotkanie. Część osób postanowiła nie opuszczać zakładu – rozpoczęła się okupacja.

– Pracodawca, bez wątpienia, złamał prawo – stwierdza Paweł Galec, prawnik, ekspert OPZZ. – Ustawa o związkach to jedna rzecz. Pracodawca uniemożliwił związkom zawodowym wykonywanie ich statutowej działalności. Brak dostępu do siedziby związku to brak możliwości korzystania z dokumentacji, sprzętu biurowego i w ogóle majątku. Jest to szczególnie rażące w okolicznościach likwidacji zakładu i zwolnień grupowych. To kolejne naruszenie prawa – podsumowuje Galec.

Niestety, przykład LZPS ujawnił, że w świetle polskiego prawa można – wprawdzie niezupełnie legalnie, ale bez żadnych konsekwencji – zamknąć zakład z dnia na dzień i zwolnić całą załogę przez kuriera. „Takie mamy prawo” – kwitują związkowi prawnicy.

Doradcy pracodawcy i likwidatora doskonale wiedzieli, w jaki sposób złamać dokładnie te przepisy, które nie są obwarowane żadnymi sankcjami prawnymi. Można zatem domniemywać, że w Polsce funkcjonuje cała gałąź szczególnego doradztwa. Jest to przemysł, który oferuje usługi w zakresie skutecznego oszukiwania i dręczenia pracowników oraz związków zawodowych.

Ludzie śmieci

Zwolniona załoga zareagowała. Okupacja przerodziła się w strajk. Zwolniono dwa posiedzenia Wojewódzkiej Komisji Dialogu Społecznego, zaangażowano władze samorządowe; wciąż interweniują posłowie i szefowie central związkowych. Pracownicy sformułowali postulaty i zapowiadają, że nie ma mowy o odstąpieniu od protestu. Do destrukcyjnych dotarły też sygnały, że jeden z postulatów został już ponoć uwzględniony – rozdysponowanie między zwolnionymi środków z funduszu socjalnego.

– Tych ludzi potraktowano jak śmieci, jak niepotrzebne odpady, które się utylizuje. Torbę papierową czy szklaną butelkę można jeszcze oddać do recyklingu. A ludzi? – oburza się Wiesława Jańczak, szefowa rady OPZZ województwa lubelskiego. Od początku uczestniczy w protestach i pomaga – wraz z innymi związkowcami – organizować jedzenie, napoje, środki czystości, odzież, koce dla okupujących.

10 stycznia część z nich zdecydowała się opuścić budynek, a likwidator umożliwił przewodniczącym związków zawodowych wejście do swoich siedzib.

Swoisty lokaut i okupacja LZPS, protest kierowców w Zielonej Górze, strajk bytomskich uczniów... Ironicznie mówiąc – z początkiem 2012 r. dialog społeczny w Polsce nabiera rozpędu.

Bojan Stanisławski jest publicystą i tłumaczem. Od 2005 r. związany z Ogólnopolskim Porozumieniem Związków Zawodowych. Redaktor naczelny pisma „Związkowiec.OPZZ” i portalu www.zwiazkowiec.info.

REKLAMA

RZECZPOSPOLITA

SZKOLENIA I KONFERENCJE

SZKOLENIA I KONFERENCJE

styczeń – luty 2012

Ochrona danych osobowych w praktyce z uwzględnieniem nowelizacji ustawy

26.01 – Gdańsk

Wyodrębnienie i aport zorganizowanej części przedsiębiorstwa

27.01 – Warszawa

Podatek u źródła – umowy o unikaniu podwójnego opodatkowania

27.01 – Warszawa

Faktura VAT i jej znaczenie w praktyce podatkowej

31.01 – Warszawa

Rewolucja na rynku nieruchomości – obowiązki wynikające z ustawy o ochronie praw nabywcy lokalu mieszkalnego – konferencja

31.01 – Warszawa

Kongres Finansowy Rzeczypospolitej 2012

Konferencja bezpłatna dla kadry finansowej przedsiębiorstw

31.01-1.02 – Warszawa

Arbitraż – polubowne rozstrzyganie sporów

8.02 – Warszawa

E-COMMERCE

Jak praktycznie podejść do przepisów prawa, aby uniknąć pułapek w e-biznesie

9.02 – Warszawa

Spółka komandytowa i komandytowo-akcyjna; praktyczne korzyści podatkowe i prawne oraz optymalizacja podatkowa ich wspólników

9.02 – Warszawa

Analiza finansowa przedsiębiorstw – analiza wskaźnikowa, tworzenie i ocena planów finansowych, kompleksowe badanie opłacalności – warsztaty komputerowe

13-14.02 – Warszawa

Optymalizacja i planowanie podatkowe w grupach kapitałowych

14.02 – Warszawa

Kontakt: tel. (22) 46 30 069, 46 30 609

Zgłoszenia i szczegóły: www.rp.pl/szkolenia www.rp.pl/konferencje

Plaster w kształcie serduszka

Państwo wycofuje się rakiem ze swoich obowiązków i zrzuca niechciany ciężar na fundacje, z Wielką Orkiestrą na czele

HANNA GILL-PIĄTEK

Hojność jest naszą narodową cechą. W Polsce okazujemy ją dwa razy w roku. Raz z okazji Bożego Narodzenia, wysyłając „SMS-y na biedne sierotki”, którymi epatuje nas telewizja. Drugi raz wrzucając realne pieniądze do puszek Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Aha, jest jeszcze trzecia okazja, przymusowa – w kwietniu, kiedy dajemy, bo musimy. Inaczej 1 proc. z PIT zabrałoby nam straszne państwo, które z tych pieniędzy mogłoby – o zgrozo! – zrealizować jakiś szczytny cel publiczny, na przykład ufundować stypendia dla młodych naukowców. Ale tak naprawdę narodowe święto hojności to finał WOŚP. Ten dzień łączy klasę ludową, średnią, a nawet czasami wyższą w szczytnym celu: dajemy wspólnie na dzieci. Dzieci są ładne, wzruszają i dlatego nie powinny chorować. Szczególnie polskie dzieci.

Nie mam nic przeciwko sierotom ani chorującym dzieciom. Zasługują na pomoc i powinny ją otrzymać. Jednak w obydwu przypadkach tę pomoc powinno zapewnić państwo: zarówno wspomagając adopcje i rodzinne domy dziecka, jak i dostarczając na oddziały szpitalne odpowiedni sprzęt medyczny czy refundując pompy insulinowe. Myślę, że zieloną wyspę, która potrafi wydać 2182 zł na wybudowanie jednego centymetra trasy ekspresowej, 34 818 zł na jedno krzeselko dla kibica na Stadionie Narodowym i dorzucić jeszcze lekką ręką ponad 200 tys. zł rocznie na jednego żołnierza, stać na najwyższy standard opieki nad wszystkimi dziećmi, które spotkało



Dzieci łatwo poruszają serca, być może dlatego żadna orkiestra w Polsce nie zagra dla staruszków

jakiegokolwiek nieszczęście. Tymczasem pod względem wydatków na opiekę zdrowotną czy społeczną nasza zbrojna Polska w budowie wlecze się w unijnym ogniu. O kulturze i nauce nawet nie ma co wspominać. Po prostu trudniej jest przeciąć wstęgę na kilkuset zdrowych staruszkach niż na nowej autostradzie.

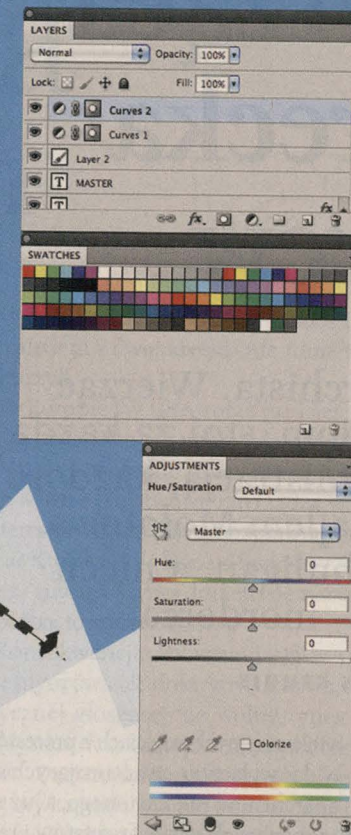
Zamiast naprawić rzecz u podstaw, państwo wycofuje się rakiem ze swoich obowiązków i zrzuca niechciany ciężar na liczne fundacje, z Wielką Orkiestrą na czele. Jednak taka pomoc trafia tylko do wybranych, i to tych spełniających kryterium estetyczne. Dzieci łatwo poruszają serca; być może dlatego żadna orkiestra w Polsce nie zagra dla staruszków czy alkoholików. Dalibyście 20 zł na leczenie pokłutego narkomana? No właśnie. Tym się różni serce okazywane raz do roku od nieczułych budżetowych tabel: te drugie zapewniają pomoc również starym i brzydkim.

Tymczasem młodzi rodzice, którzy w szpitalach zetknęli się z orkiestrowym serduszkami, stają się gorącymi orędownikami WOŚP – podczas gdy powinni protestować pod Sejmem przeciw wywalaniu publicznej kasy na stadiony zamiast na szpitale. Tym bardziej że państwo i tak sporo płaci za ten narodowy festiwal dobroci. Wojciech Makowski na swoim blogu zwraca uwagę, że nikt nie liczy kosztów wojskowych defilad, przelotów myśliwcami, koncertów i transmisji telewizyjnych finansowanych z kieszeni podatnika. W efekcie oprócz podnoszenia na jeden dzień samopoczucia narodu Orkiestra staje się okazją do autopromocji polityków, korporacji, armii oraz od 20 lat jednej i tej samej organizacji charytatywnej,

której lider sławi powszechną prywatyzację usług publicznych, podważając tym samym sens istnienia głównego sponsora imprezy (a kilka dni po zamachu Andersa Breivika w Norwegii stwierdza, że nie wierzy w jego winę, bo to na pewno sprawka muzuhnowców). Wszystko zaś odbywa się kompletnie bez żadnej refleksji, jakby przyklepanie serduszkowego plastra na źle działający system było najoczywistszą rzeczą. A potem wszyscy idą do domu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, by przez rok już nie dawać nic ani państwu (uciekając od składek i podatków), ani innym organizacjom, ani – broń Boże – starym i brzydkim alkoholikom.

A gdyby na jeden rok złamać ten monopol? Przeprowadzić, podobnie jak w Norwegii, przejrzysty konkurs na organizację, która przy wsparciu mediów publicznych zbierałaby na jakieś inne szczytne cele. Może nawet niezbyt estetyczne i nie typowo polskie. Gdyby zamiast trąbienia, myśliwców i strażackich siłkawek w ten dzień odbyły się publiczne dyskusje o jakimś ważnym społecznym problemie? Proponuję, żeby zbierać na edukację polityków w zakresie ważności celów umieszczanych w budżecie. Żeby umieli uporządkować we właściwej kolejności dobrą politykę społeczną, szpital, przedszkola i stadion. W debacie telewizyjnej obowiązkowo znaleźliby się jeden naukowiec, jedna staruszka i jeden chcący się leczyć alkoholik. Prowadziłby ją dyrektor likwidowanego teatru.

Hanna Gill-Piątek jest działaczką społeczną i polityczną, graficzką, członkinią Zielonych

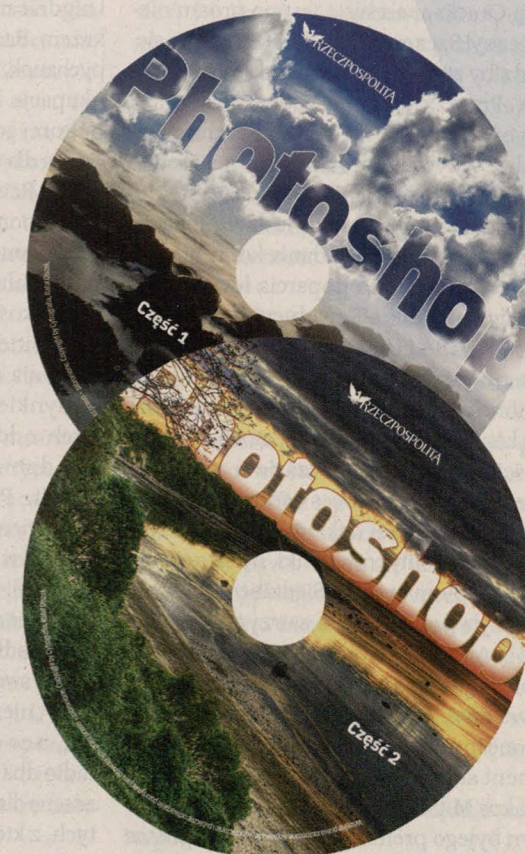


Zapanuj nad swoimi zdjęciami z Photoshopem

Robisz zdjęcia całymi seriami? Z kursem Photoshopa „Rzeczpospolitej” w pełni nad nimi zapanujesz. W mig nauczysz się sztuki fotomontażu, efektów specjalnych i grupowej obróbki zdjęć.

Kurs Photoshopa
– w poniedziałek i wtorek, 16 i 17 stycznia

Wydania z płytami dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.



Wrząca grecka krew

Anarchista. Wierząc mediom, stoi za każdą demonstracją, każdym koktajlem Mołotowa. To chuligan, a niech tam - morderca

DIONIS STURIS

Na telewizyjnych zdjęciach z protestów widać wyłącznie awanturujących się anarchistów, nikogo innego, a już na pewno nie rosnących w siłę faszystów i rasistów ze „Złotego świtu”, z którymi ci pierwsi walczą. Grecki anarchista jest po prostu niebezpieczny! Szczególnie, gdy siłą wdzierają się do siedziby ateńskiego radia. Jak w miniony wtorek. Przekaz, który poszedł w świat:

10 stycznia 2012 r. - „Grecja: anarchiści zajęli radio. Wzywali do walki zbrojnej i rewolucji”. Około 30 anarchistów wdarło się do siedziby prywatnego Radia Flash w Atenach. Zmusili rozgłośnię do nadania komunikatu, w którym wzywali do poparcia lewackiego ugrupowania Walka Rewolucyjna - uważanego przez USA i Unię Europejską za organizację terrorystyczną. Anarchiści, którym udostępniiono antenę, twierdzili, że sprzeciwiają się „kapitalistycznemu systemowi sprawiedliwości”. W tym samym czasie w ateńskim sądzie odbywał się proces ośmiu członków Walki Rewolucyjnej oskarżonych o udział w atakach na polityków, banki, instytucje publiczne i dyplomatyczne. Siedzibę radia szybko otoczyła policja, która zatrzymała około 20 osób. Aresztowani anarchiści usłyszeli zarzut propagowania terroryzmu. Nie doszło do rozlewu krwi. A wystarczy znać grecki, wejść na stronę internetową Radia Flash i odsłuchać fragment audycji.

Kiriakos Mitsotakis, poseł Nowej Demokracji (syn byłego premiera i brat byłej minister



Stereotyp anarchisty bliski jest opisowi szarżującego po meczu kibola

spraw zagranicznych), był zaproszony do porannego programu w Radiu Flash. Kiedy siedział w pokoju dla gości i spokojnie dopijał kawę, do studia weszła grupa około 30 anarchistów. Poprosili, by pozwolono im odczytać na antenie swój manifest. Jakim prawem? Takim, że nie mają dostępu do innych mediów i nigdzie nie mogą się przebić ze swoim przekazem. Radio pozwoliło. Nie było gróźb, przepychanek, wzajemnego straszenia się - ot, cała okupacja. Komunikat nagrany na płycie trwał półtorej godziny. Dotyczył dwóch spraw: poparcia dla uwięzionych członków organizacji Walka Rewolucyjna i szerokiej analizy kryzysu ekonomicznego oraz faktycznej okupacji, jaką zafundował Grecji Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Kiriakos Mitsotakis dziwi się całej akcji na Twitterze, a zaniepokojeni słuchacze dzwonią do radia. W międzyczasie przed budynkiem gromadzi się policja z różnych oddziałów, między innymi jednostki odpowiedzialne za tłumienie demonstracji. Przyjeżdżają prokuratorzy, choć - jak twierdzi Spiros Haritatos - radio nikogo nie wzywało. Dziennikarz rozmawia z anarchistami, którzy obmyślają taktykę działania - nie chcą dać się aresztować. Mija czwarta godzina, odkąd weszli do radia. Haritatos zaprasza do swojego programu Jorgosa, przedstawiciela „niespodziewanych gości”. Obaj tłumaczą, o co chodziło, że to żadna okupacja, że radio dba o wolność słowa i udostępnia swoją antenę dla wyrażania różnych poglądów, także tych, z którymi się nie zgadza. Że nikt nikogo

nie dotknął, nikt nawet nie przeklął. Niech policja się wycofa.

- Nie mogę pojąć - wścieka się dziennikarz. - Dlaczego, gdy zdarzy się jakiś wypadek, na policję czeka się całe wieki, a przy okazji takiej jak ta zjawia się ona nieproszona i wszystko komplikuje?! Negocjacje kończą się fiaskiem. Anarchiści opuszczają radio, a policja na wniosek prokuratury aresztuje 20 z nich. Wieczorem około stu osób protestuje w centrum Aten - domagają się uwolnienia aresztowanych.

Rok temu rozmawiałem z wieloma anarchistami w Atenach. To była końcówka 44-dniowego strajku głodowego 300 nielegalnych imigrantów, głównie z Tunezji i Maroka. Mężczyźni, którzy w Grecji mieszkają i pracują od kilkunastu lat, nadal nie mogą zalegalizować swojego pobytu. Anarchiści pomogli im w organizacji protestu, zapewnili stałą pomoc medyczną, zaopatrzenie w wodę, sól, herbatę. Zadbali o namioty, karimaty, śpiwory, przenośne umywalki i toalety.

W tym samym czasie pomagali też grupie afgańskich uchodźców, którzy kilkaset metrów dalej prowadzili oddzielny strajk. Pomagali się azylu politycznego, a z desperacji i na znak protestu zaszyli sobie usta.

Tych samych anarchistów widziałem parę miesięcy później - wśród greckich Oburzonych na placu Syntagma, zanim policja „sprzątnęła” ich obozowisko. Rozdawali darmowe jedzenie albo prowadzili bibliotekę...

Dionis Sturis jest dziennikarzem Radia Tok FM

Gorączka oburzonych



ANNA GRODZKA

Autorka felietonu jest posłanką Ruchu Palikota

Paskudna pogoda - styczeń, a tu ani zima, ani coś. Ciemno, wieje i ziąb. A na poczcie: Afryka. Zgrzana stałam w kolejce, wypisując przyłożony do ściany kwitek na polecony. A w aptece nieopodał, bo apteki są w tym mieście zawsze „nieopodał”, już nie dają się pokonać afrykańskiej aurze. Kolejka na pół godziny. Trzymam w ręce kozuszek i staram się spokojnie oddychać, by znów nie spłynąć potem. Elegancki, przystojny facet przede mną także trzyma płaszcz w rękach. Teczuszka „samsonitka”, garniturek szary z klasą, krawacik związany wieczorem już luźno - bo nie dusi.

- Co dolega? - pyta chudy gość cały w czerni, stojący przed nim. Najwyraźniej znajomy.

- Serducho, Maciek - serducho siada - odpowiada.

- No tak - stres nas wykańcza - rezonuje ten w czerni. - Giełda idzie w dół, co?

- Kurde, chłopie! Miałem chwilowo spory pakiet w KGHM. Sto kawałków poszło.

- Ale Tusk zawałił! Ja cie ...!

Aptekarka rozmawia ze starszą panią i rozkłada ręce. Kobieta odchodzi pochylona, z receptą w dłoni. Patrzymy na siebie ponuro.

- Nie, no popatrz - komentuje teatralnym szeptem ten elegancki. - Oburza mnie to. - Ty sercowy jesteś. Spokojnie. W farmaceutykach trzeba siedzieć - doradza Maciek.

W domu - nareszcie! Biorę prysznic. Szlaczek. Luz. Wsypuję do kubka kupiony bez

recepty specyfik i zalewam ciepłą wodą. Hm! Ci w aptekach to mają dobrze - myślę. Taka recepta ze stemplem nabitym czerwonym tuszem „Refundacja do decyzji NFZ”, za parę lat to będzie unikat - tak jak moje kartki na cukier ze stanu wojennego, które przechowuję w szufladzie pod lekarstwami. Ale - przyszło mi do głowy - przynajmniej te koncerny farmaceutyczne popamiętają Kopaczową i Arłukowicza. Poczuliłam dreszcze. Chyba mam gorączkę - wsadziłam termometr pod pachę.

Dzwoni komórka. Jakiś numer, którego nie znam, ale odbieram.

- Pani Grodzka?

- Tak. Słucham pana.

- Wie pan, co teraz czytam? Ja tam nie wiem, czy jesteś pan, czy pani. Dla mnie to tam żadna pani nie jesteś. Ale niech ci będzie. Dzwonię, bo głupoty piszesz człowieku. Czytam tu na tym twoim blogu. Piszesz o „ruchach oburzonych”. I wkurza mnie to. Jaka, panie, „alienacja władzy”?! Jakie „poczucie niesprawiedliwości”?! Oni nie wiedzą, czego chcą. Na kolejny większy telewizor im brakuje i wszystko. Lewactwo, gówniarstwo i tyle. I ktoś taki jak ty nas w Sejmie reprezentuje? Cała twoja zasługa, że się w kieckę przebrałeś. Wybrali dziwaka i tyle. Niedługo małpę wybiorą...

- Dobranoc panu. Zdaje mi się, że nie pogadamy - kończę rozmowę.

Jak tu rozmawiać?! Ale on też jest oburzony. Paradoks. Ech! Odrzucam kolejne połączenie z tego samego numeru.

To chyba nie jest przypadek, że w tym samym 2011 r. widzieliśmy oburzonych w Afryce, Europie, Stanach. Wydawałoby się, że to całkiem różne sprawy. A jednak widać, że łączy ich poczucie niesprawiedliwości. Podnoszą hasła świadczące o tym, że nie czują swojej kontroli nad polityką i dystrybucją dóbr. Że nie są podmiotem polityki, ale jedynie jej przedmiotem. Wydaje się, że w Afryce sprawa alienacji władzy jest oczywista. Nie ma demokracji. Dyktator to wróg, złodziej. Wystarczy się go pozbyć i zacząć rządzić. Ale dyktatura to tylko jeden z przejawów alienacji władzy. Jest także inny - nasz: europejski i amerykański.

Wyciągam termometr. Dam radę. Trzydzieści siedem i dwie kreski. Ale mnie ten facet wkurzył!

W Europie i w USA coraz częściej stawiane są pytania „Kto tak naprawdę nami rządzi?”, „Dlaczego wybrane przez nas demokratycznie władze państwowe nie rządzą w naszym interesie?”. Gdzie jest tak naprawdę nasza władza? Kto opanuje kryzys finansowy? A przecież - myślę - kryzys dopiero się zaczął! To nie wróżba, to konsekwencja.

Konsekwencja obowiązującej w ponowoczesnym świecie doktryny ekonomiczno-politycznej głoszącej, że wolny rynek załatwi wszystko oraz zastąpi realną politykę i państwo. Dziś rządzi światem zasada spekulacyjnej gry kapitałem, a nie odpowiedzialny człowiek. Gdyby można go wskazać, obciążyć odpowiedzialnością, obalić, a on musiałby się z tym liczyć... Ale mamy miliony, de facto anonimowych osób i instytucji, które są podmiotami gry finansowej. Nawet właściciela koncernu, banku czy funduszu już prawie nie można ustalić. A jeśli nie ma odpowiedzialności, nie ma moralności.

Uwolniliśmy dzina z lampy Aladyna. Rządzi nami zasada chciwości. Chciwość jako wartość. Chciwość w płaszczu ekonomicznej doktryny.

Mam dreszcze. Przykrywam się po szyję koldrą, ale nie mogę zasnąć. Przemawiam w myślach do siebie czy do tego nienawistnika, który do mnie dzwonił? A może do tych dwóch gości z kolejki w apteczkę? Kiedy przed laty, jako nowa studentka, poszłam na inauguracyjny wykład z psychologii realizowany przez profesora Tomaszewskiego, dowiedziałam się, że psychologia nie jest nauką sensu stricto, bo niewiele w niej pewnych twierdzeń. Ale jest jedno niezawodne prawo psychologiczne: frustracja rodzi agresję. Dziś wśród ludzi narastają frustracja i bunt. Ludzie mają coraz mniej swoich osobistych szans i coraz mniej politycznego wyboru. Buntują się oburzeni i czują potrzebę zmiany.

Zanosi się na to, że jutro też będzie paskudna pogoda. Brrr.



Sterowany robot podwodny Isis rozpoczyna historyczną misję

U wybrzeży Antarktydy odkryto oazę nieznaną nauce organizmów. Istniejący w ekstremalnych warunkach ekosystem może pomóc nam zrozumieć, jak powstało życie na Ziemi i gdzie możemy szukać życia w Kosmosie

Zaginiony świat

OLAF SZEWCZYK

To, czego nie znaleźliśmy, zaskoczyło nas niemal tak bardzo, jak to, co znaleźliśmy – mówi profesor Alex Rogers z Uniwersytetu w Oksfordzie. Zespół złożony z naukowców z Oksfordu i Southampton, przedstawiciele Brytyjskiej Szuszy Antarktycznej i Narodowego Centrum Oceanograficznego od 2009 r. bada głębie morza Scotia w pobliżu Antarktydy. Na dnie akwenu, kilometry pod

powierzchnią, uczeni odkryli komin geotermalny, wokół którego powstała oaza zamieszkała przez niespotykaną nigdzie indziej faunę. Wyniki tych prac opublikował na początku stycznia periodyk „PLoS Biology”.

Słupy żaru

Głębie oceanów nie przestają nas zadziwiać. Nigdzie nie widzieliśmy bardziej egzotycznych roślin i zwierząt. Bezwiednie poświadczamy, kopiując podwodną faunę i florę

w filmach science fiction, gdy chcemy oddać niezwykłość obcych światów – na przykład w „Avatarze” unoszące się w powietrzu ażurowe świetliki przypominają ławice meduz lub ukwiały. Rzeczywistość przerasta jednak nawet wyobraźnię zafascynowanych oceanicznym życiem scenografów.

Najdziwniejsze oazy życia powstają wokół podwodnych kominów geotermalnych. To bijące od dna słupy niezwykle gorącej wody o temperaturze nawet kilkuset stopni

Celsjusza (pierwszy odkryto w roku 1977 podczas misji amerykańskiego batyskafu „Alvin” badającego ryft Galapagos). Woda ta nie zmienia się w parę tylko dzięki bardzo wysokiemu ciśnieniu panującemu na tej głębokości, sięgającemu setek atmosfer. Kominy powstają na styku płyt tektonicznych, których ruchy odsłaniają czasem warstwę płynnych skał – magmę, gotującą, zalewającą ją wodę.

Formy życia egzystujące wokół źródeł hydrotermalnych, choć niespotykane nigdzie indziej, tworzą zwykle podobne ekosystemy. Nie wiemy, jak to jest możliwe – oazy te są przecież odizolowane od siebie, a w wodach poza nimi, o innej temperaturze i składzie chemicznym, organizmy te nie mają szansy przetrwać. Istnieje ryzykowna hipoteza, że mogą łączyć się pod dnem, wzdłuż linii uskoku (gdyby okazała się prawdziwa, Juliusz Verne, autor „Wyprawy do wnętrza Ziemi”, zapewne byłby z tego kontent). Bez względu jednak na to, co decyduje o podobieństwie hydrotermalnych bioświatów, oaza odkryta obok Antarktydy jest inna niż wszystkie pozostałe – zamieszkuje ją inne, niż się spodziewano, organizmy.

Życie w piekle

Naukowcy badający głębie morza Scotia sądzili, że natkną się na specyficzne dla takich środowisk odmiany wieloszczetów, małży czy krewetek. Co natomiast zobaczyli okiem kamer batyskafu? Między innymi nieznaną wcześniej drapieżną rozgwiazdę, nowe odmiany anemonów, włochatego kraba, a nawet ośmiornicę o nietypowo bladej „karnacji”, której obecność w takim miejscu uznano za sensację. A w okolicach kominów geotermalnych warunki nie są, mówiąc ogólnie, szczególnie przyjazne. Maksymalna zmierzona temperatura wód tego szczególnego źródła wyniosła, bagatela, 32,8 stopnia Celsjusza. Woda podnosi ze sobą wypłukane spod dna, duże ilości silnie toksycznych substancji, jak metale ciężkie, siarkowodór, metan i amoniak. Dno przy kominie położone jest na głębokości około 2,4 km, panuje tam zatem ciśnienie circa 240 atmosfer. Dodajmy, że jest to kraina wiecznej ciemności. Światło słońca nie przenika bowiem wody poniżej głębokości stu metrów. Jak zatem w tak skrajnie wrogich dla życia warunkach cokolwiek może przeżyć?

Podstawą istnienia podobnych bioświatów są endemiczne bakterie, tworzące substancje organiczne na drodze chemosyntezy. Czerpią energię z utleniania związków siarczkowych, zabójczy dla większości organizmów siarkowodór jest dla nich pożywką.



Nowe odmiany liliowców



...anemonów



...wąsonogów



...krabów yeti



...odkryte wokół komina geotermalnego

Dzięki tym bakteriom z kolei mogą przeżyć wokół kominów rurkoczułkowce, robaki ryftowe. I nawet nie muszą owych mikrobow jeść – nie mają zresztą ani otworu gębowego, ani odbytu, przez co ich istnienie przez pewien czas było dla naukowców źródłem konsternacji. Okazało się, że bakterie zasilają robaki, by tak rzec, bezpośrednio, niczym żywe akumulatory – żyją bowiem w nich. Robaki są z kolei, podobnie jak inne stworzenia funkcjonujące dzięki bakteriom, obgryzane przez kolejne stworzenia w łańcuchu żywieniowym, i tak oto ten świat się kręci.

Dawno temu, daleko stąd

Pierwsze obserwacje bioświata z dna morza Scotia dokonane przez zdalnie sterowanego robota nie pozostawiają wątpliwości co do rangi odkrycia. To jednak zaledwie przedsmak tego, co nas czeka, gdy lepiej zbadamy ową przedziwną oazę. A trzeba się spieszyć, bo kominy geotermalne z czasem zanikają, gdy rana w powłoce ziemi ulega zasklepieniu. Stawką jest nie tylko satysfakcja z kolejnego przekroczenia granicy poznania. Uważa się, że właśnie podwodne źródła geotermalne mogły być kolebką życia na Ziemi. Zgłębiając ich tajemnice, mamy szansę zdobyć bezcenną, iście faunostowską wiedzę.

Ponadto im więcej wiemy o adaptacyjnych zdolnościach organizmów, tym łatwiej nam będzie odnaleźć życie poza naszym globem. Podobne warunki jak w kominach geotermalnych mogą istnieć choćby w węglowodorowych jeziorach na Tytanie, księżycu Saturna. Dziś, dzięki wiedzy zdobytej w głębi ziemskich oceanów, wiemy, że warto przyjrzeć im się uważnie, mimo że na pozór panują tam warunki dla życia mordercze.

Życie, jak już wiemy, jest wyjątkowo uparte w swej woli przetrwania. I wyjątkowo odporne na nawet najgorsze z plag. Świadczą o tym, odkrywane między innymi właśnie w kominach hydrotermalnych, organizmy, w których istnienie jeszcze nie tak dawno nikt o zdrowych zmysłach by nie uwierzył. Wspomniane rurkoczułkowce potrafią przeżyć w wodzie o temperaturze 100 stopni Celsjusza, a nie są bynajmniej rekordzistami. Wrzący kwas, ciśnienie 1100 atmosfer (czyli tona z okładem na centymetr kwadratowy), trujące związki chemiczne, ciężkie metale, twarde promieniowanie – są organizmy, które i z takimi wyzwaniami dają sobie radę.

Ciekawe, co jeszcze uda nam się odkryć w przedziwnym podwodnym świecie u wybrzeży Antarktydy.

Na targach Consumer Electronics Show w Las Vegas, największej corocznej feście gadżetozerców, gigantomania konkurowała ze wstrzemięźliwością



Sony Crystal LED

Prototyp 55-calowego telewizora emitującego obraz wprost z mikroskopijnych, kolorowych diod LED zapewnia według Sony bardziej naturalne kolory, 3,5 razy lepszy kontrast i 10-krotnie krótszy czas reakcji, niż oferują tradycyjne telewizory LCD.

Gargantua na diecie



SolarKindle

Spełnienie marzeń filozofów o księdze wiedzy wszelakiej? Czytnik Kindle, zdolny pomieścić zbiory niejednej biblioteki i wyposażony w obwołutę z ogniwami słonecznymi, rzeczywistość może być tą jedyną rzeczą, którą chcielibyśmy zabrać na bezludną wyspę. Dzięki słońcolumnej okładce da się czytać nawet nocą, ma ona bowiem lampę. Po naładowaniu świeci przez 50 godzin.

Według analityków w tym roku świat, mimo kryzysu, wyda na elektronikę użytkową więcej niż kiedykolwiek. Będziemy kupować głównie nowe smartfony, tablety, e-readery, ultrabooki i inne komputery zdolne do odzwierciedlania nowoczesnych gier, a także większe telewizory. Nie dziwi, że na CES pokazano plejadę takich urządzeń. Nie dziwi też, że jak zwykle najmłodniejszym wabikiem promocyjnym był przedrostek „naj”.

Cieszy, że kwestia zmniejszenia poboru energii była ważniejsza dla projektantów niż w latach ubiegłych. Co jednak z tego, że konstruujemy mniej prądożerne ekrany, gdy jednocześnie zwiększamy ich powierzchnię? Nasz apetyt na energię wcale nie będzie mniejszy.

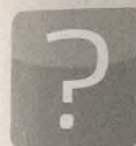
Jeśli wierzyć zapowiedziom producentów chwających swe ogonki na targach w Las Vegas, wkrótce czeka nas rewolucja

w domenie technologii wytwarzania telewizorów. A nawet parę. Samsung i LG wydają się wreszcie bliskie produkcji odbiorników z dużymi monitorami OLED – nie tylko oferującymi obraz lepszej jakości, ale i pobierającymi zdecydowanie mniej prądu niż telewizory plazmowe czy LCD. Sony, niegdyś orędownik i pionier OLED, kontruje technologią Crystal LED oferującą podobne walory. Sharp kusi gigantycznym, aż 85-calowym monitorem wyświetlającym obraz o oszałamiającej rozdzielczości 7680 x 4320, 16 razy większej niż w standardzie HD. Jego mniejszy, „zaledwie” 80-calowy kuzyn oferuje obraz 3D w tradycyjnej technologii LED.

A może to tylko łabędzi śpiew? Może dzisiejsze telewizory ustąpią wideogłom lub mikroemiterom w soczewkach kontaktowych, rzutującym obraz wprost na siatkówkę oka?

OLAF SZEWCZYK

TEŻ PYTANIE



Kto pyta, nie błądzi. A my dalej szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

KAROLINA SAWICKA



1. Znowu słyszałam, że tygrysy to praktycznie wymarły gatunek. A przecież wciąż żyją ich setki czy może nawet tysiące.

Szacuje się, że teraz na wolności żyje nieco ponad trzy tysiące tygrysów. Niestety w małych grupach na jednym obszarze zamieszkuje zwykle nie więcej niż kilkaset osobników, z czego zdolnych do rozrodu jest ledwie 200-300. A to stwarza już poważny problem genetyczny. Przy tak niskiej liczbie zwierząt nieuniknione staje się krzyżowanie między osobnikami spokrewnionymi ze sobą. Pojawia się więc problem tygrysięgo kazirodztwa. Może ono sprawiać, że dzieci będą mieli rodzice, którzy w swoim zestawie genów posiadają taką samą, potencjalnie niebezpieczną mutację. Gdyby była

ona obecna tylko u jednego rodzica, to u potomstwa geny drugiego zapewne by ją „zamaskowały”. W przypadku bliskich krewnych tak się jednak nie dzieje, rośnie więc liczba dzieci, które rodzą się z mniej i bardziej poważnymi wadami genetycznymi. Innym problemem jest też łatwość przenoszenia się chorób – w jednolitej genetycznie grupie choroba rozprzestrzenia się znacznie szybciej i łatwiej, nie napotykając odpornych genetycznie osobników. Trudno powiedzieć, czy owe trzy tysiące tygrysów to faktycznie już za mało, by gatunek przetrwał, ale wiele na to niestety wskazuje.

2. Dlaczego niektóre jabłka kupione w sklepie są w dotyku tłuste? Czy ten tłuszcz może być niezdrowy?

Jabłko zerwane z drzewa pokryte jest naturalną warstwą wosku. Zapobiega ona utracie wody przez skórkę – w końcu owoc ten to w ponad 80 proc. woda. Do ochronnej warstwy łatwo przylepiają się zanieczyszczenia, dlatego po zebraniu jabłek z drzew usuwa się z nich ten tłuszcz. Ze względu na to, że owoce są zwykle przechowywane przez długie tygodnie, taki zabieg naraża je na wysuszenie

i pomarszczenie. Dlatego często spryskuje się je „zastępczym” woskiem. Jest on nieszkodliwy, uzyskujemy go z innych roślin, na przykład liści palmy. W dużym przybliżeniu można oszacować, że na jedno jabłko przypada jedna kropla lub dwie takiego tłuszczu, nie jest to więc imponująca ilość. W dodatku podczas mycia warstwa ta jest usuwana, więc praktycznie nic z niej nie zjadamy.

3. Kiedy widzę na niebie jednocześnie Słońce i Księżyc, są niemal naprzeciwko siebie. Tymczasem Księżyc widać tylko pół. Dlaczego Słońce nie oświetla tej drugiej połowy?

Wrażenie, że Księżyc i Słońce są naprzeciwko siebie, to złudzenie. Odpowiadają za nie m.in. złe rysowane mapy Układu Słonecznego. Zaznacza się na nich obiekty bez zachowania proporcji ich wielkości, a przede wszystkim – skali odległości. Przez to mamy wrażenie, że Ziemia, Księżyc i Słońce są niedaleko od siebie, a więc że można, patrząc na ich wzajemne położenie, zachowywać ziemską skalę odniesienia. Tymczasem kosmiczne odległości są ogromne, a w porównaniu z nimi obiekty zawieszony w pustce – maleńkie. Choć na naszym niebie Księżyc wygląda, jakby był naprze-

ciw Słońca, to w rzeczywistości nie znajduje się on po przeciwnej stronie Ziemi względem gwiazdy, a więc nie widzimy tylko jego oświetlonej strony. W danej sytuacji połowa tarczy Księżycyca to jego ciemna strona, zwrócona tyłem do Słońca. Ciężko to sobie wyobrazić? Ułóżmy na podłodze jabłko (Ziemia), a trzy, cztery metry dalej winogrono (Księżyc). Słońca nie zmieścimy, bo musiałoby mieć jakieś 10 m średnicy i leżeć 1,5 km dalej. Teraz wystarczy ułożyć winogrono w różnych pozycjach względem jabłka – uświadomi nam to, co faktycznie widzimy z Ziemi, a co jest tylko złudzeniem.



Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolenie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak;
Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa

Zmienne reguły gry

Dziś amatorzy gier montują samodzielnie ultrawydajny stacjonarny komputer, kupują stworzonego z myślą o elektronicznej rozrywce notebooka albo decydują się na konsolę. Spośród notebooków możemy wybrać choćby udanego Samsunga serii 7G (na zdjęciu po prawej), który dzięki silnym podzespołom i ekranowi wyświetlającemu 16 milionów barw godnie obsługuje każdą nową grę. Ale co okaże się standardem jutro? Czy wyposażeniem gracza będzie hełm śledzący ruchy głowy i wyświetlający trójwymiarowy obraz tuż przed oczami, tak by stworzyć iluzję przebywania w wirtualnym świecie? Tak kierunek wytycza pokazany na CES Sensics Smart Googles.



MAREK RACZKOWSKI



Mesjasz zamordowany w kanale

Bardziej niż Jedwabne z publicznej pamięci wypchnięty jest przedwojenny antysemityzm polskiej inteligencji

Tomasz Piątek: Kiedy filmowiec jest w rozpacz, bo nie wie, o czym zrobić film, to robi film o małej żydowskiej dziewczynce. To powiedzenie Tadeusza Konwickiego miałem w pamięci, idąc na nowy film Agnieszki Holland.

Myślałem o tym, że „W ciemności” zapewni oczekiwania i Polaków, i Amerykanów. Polacy są na tyle prymitywni, żeby się to spodobało Amerykanom, ale wychodzi z nich złote serce, co się musi spodobać Polakom. Temat jest sprawdzony, bo mamy do czynienia z powtórką z „Listy Schindlera”: bohater zaczyna pomagać Żydom dla zysku, ale dorasta do roli Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Na ile film Holland jest wynikiem marketingowej kalkulacji?

Anna Sobolewska: Ten film się panu nie podobał. Prawda?

Piątek: Na to pytanie odpowiem później.

Jakub Majmurek: Czy film jest wynikiem kalkulacji – to nie jest pytanie do nas.

Piątek: A czy my nie jesteśmy w stanie wyczuć nieszczerości? Może już nie, bo żyjemy w świecie, który jest przesiąknięty marketingiem.

Sobolewska: Ten film opiera się na dwóch książkach, które opisują fakty. Wydaje mi się, że on jest im wierny. Ta historia nie została przesunięta w sposób radykalny w stronę oczekiwań opinii publicznej. Istnieje takie pojęcie w krytyce literackiej i filmowej jak „holokicz”. Tego typu filmy mają po prostu swoje miejsce w kulturze masowej. Wydaje mi się jednak, że to nie jest ten przypadek.

Ten film mnie zdobyl niezwykłością sztuki filmowej, zdjęć, światła, planów. A jednocześnie

nie przekonał stopniem skomplikowania psychologicznego postaci. I wielością ukrytych znaczeń, które też okazały się nie tak proste, jak się wydawało.

Majmurek: Film Holland nie jest robiony pod oczekiwania polskiej opinii publicznej. Polacy w tej historii to jest naród ze złotym sercem, ale bez głowy. Nie ma żadnych przedstawicieli polskich elit – symbolicznych czy politycznych. Żydzi się ukrywają, Niemcy chcą podbić świat, Ukraińcy próbują robić swoją politykę. A Polacy są co najwyżej zdolni do szabru. Na pewno nie jest to wizja polskiej wspólnoty, którą by ona sama o sobie chętnie przyjmowała.

Agnieszka Holland od dawna nie nakręciła filmu, który by mnie przekonał jako propozycja intelektualna i artystyczna. Teraz obawiałem się umoralniającej opowieści o tym, jak szmalcownik zmienia się w Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Dostałem coś o wiele bardziej skomplikowanego, o wiele ciekawszego, niebanalnego także filmowo.

Sobolewska: Wydaje się, że ambicją Agnieszki Holland już od pierwszych kadrów było pokazanie niejednoznaczności dobra i zła, jasnej i ciemnej strony. Na przykładzie scen erotycznych można prześledzić, jak brutalnie, nie licząc się z nikim i niczym, zaspokajają swoje potrzeby wszyscy, także prześladowani.

Mamy akurat taki dobór bohaterów, bo taki był los postaci opisanych w tych dwóch książkach. Zupełnie inny przekrój społeczny, środowisko inteligentkie, mamy np. w filmie „Joanna” Feliksa Falka.

Piątek: To też był film o małej żydowskiej dziewczynce.



Majmurek: I chyba rzeczywiście powstał z rozpacz...

Sobolewska: W ostatnim numerze „Wprost” Paweł Śpiewak skreśla wszystkie utwory fabularne na temat Holocaustu. Dla niego to jest etyczne nadużycie, przekroczenie tabu, nieprzyzwoitość. Chyba że jest to literatura dokumentu osobistego.

Piątek: Ja uważam, że wymordowanie 6 mln ludzi i zamordowanie jednego człowieka to są porównywalne tragedie. Gdybyśmy mieli uznać, że nie wolno nam pisać o wielkim



„W ciemności” Agnieszki Holland opowiada prawdziwą historię grupy lwowskich Żydów, którzy przez 14 miesięcy ukrywali się z pomocą kanalarza Leopolda Sochy (rewelacyjna rola Roberta Więckiewicza)

mordzie, to nie moglibyśmy pisać o mordzie mniejszym. Nie mogłaby powstać „Zbrodnia i kara”, bo pisarzowi nie byłoby wolno skazić swoim dotykiem ludzkiej tragedii.

Majmurek: Ikonoklazm Pawła Śpiewaka jest trochę spóźniony. Pytanie Adorno, czy możliwa jest poezja po Holocaustie, już weszło do publicystycznej kliszy.

Piątek: Dlaczego po Holocaustie nie, a po wymordowaniu Ormian tak?

Majmurek: Różnica może jest taka, że mord Ormian wydarzył się na peryferiach kultu-

ry, która artykułuje to pytanie, a Holocaust w samym jej centrum. Był też w jakimś sensie produktem europejskiej nowoczesności i dramatem europejskiego rozumu.

Piątek: Ale mord na Ormianach był efektem próby gwałtownego zmodernizowania i europeizowania państwa. Wydarzył się, kiedy Turcy nagle stwierdzili, że chcą być nowoczesnym narodem – jak Francuzi – i po cholery im mniejszości.

Sobolewska: Ja się nie zgadzam z opinią, że to jest film psychologiczny o dojrzewaniu

do bohaterstwa. Wydaje mi się, że bohater jest po prostu dobrym człowiekiem, nawet jako złodziej. Na samym początku on wychodzi z kanału wprost do getta, do pokoju, gdzie jest dwójka dzieci. Ten moment jest już przesadzający.

On oczywiście woli zarobić na swojej ofiarności, niż nie zarobić. Ale to nie jest sytuacja ze „Zbrodni i kary”. Leopold Socha to człowiek, którym kierują odruchy, najczęściej dobre. Agnieszka Holland pokazuje tylko, jak te odruchy są nieprzewidywalne. Jak za- →

Jasmin Maria Dichant/Kino Świat

Większość ukrywających się w kanałach Żydów to przedstawiciele inteligentnej kultury mieszczańskiej, którzy traktują Leopolda Sochę jak plebejusza, jako osobę niegodną zaufania



Robert Palka/Kino Świat

→ leżą od jednego słowa. Jako widzowie zaangażowani w los bohaterów boimy się, że zdarzy się impuls z przeciwnym wektorem. I tak się stało, ale nie do końca.

Piątek: On się szamocze, jest bardzo ludzki. Czasem mu przychodzi do głowy, żeby ich wydać. Potem się z tego wycofuje. Jego żona też się szamocze, raz się boi, raz chce zaadoptować żydowskie dziecko.

Sobolewska: To jest autentyczne, inne niż w „Liście Schindlera”. We wszystkich filmach Agnieszki Holland, np. w „Placu Waszyngtona”, widać jej impuls korzystania z wielkiej literatury światowej, subtelnej psychologicznie.

Piątek: Żydzi i chrześcijanie mają tę wspólną cechę, że czekają na Mesjasza. Czy Żydzi szukający schronienia w lwowskich kanałach mieli na co czekać? Czy oni w ogóle mieli jakąkolwiek nadzieję?

Sobolewska: Myślę, że bez nadziei oni by tam nie wytrzymali. Czekali na klęskę Niemców. Niektórzy tracili nadzieję. Mała dziewczynka w pewnym momencie nie jest już w stanie rysować, bawić się, śpiewać. Postać Mesjasza raczej tam się nie pojawia...

Majmurek: Chyba że za Mesjasza uznamy Armię Czerwoną, która przynosi wyzwolenie...

Sobolewska: Jeśli jest tu postać Mesjasza, to paradoksalna, tragiczna. Ten paradoks wynika z duchowego fałszu ludzi religijnych: oto w kanałach rodzi się żydowskie dzieciątko. Jednocześnie chrześcijanie składają hołd innemu żydowskiemu dzieciątku, które uważają za swojego Mesjasza. To ironia losu, że boskie dzieciątko jest nienawidzone w innych dzieciach żydowskich, czczone za cenę życia innych dzieci. Że niewinne dzieciątko urodzone w kanałach zostaje okrutnie zamordowane.

Piątek: Urodzone i zamordowane pod fundamentami kościoła chrześcijańskiego.

Sobolewska: Tu się otwiera jakaś teologiczna otchłań, przestrzeń szatańskiej przewrotności. Nie wnikając już w zamysły boże, w ludzkim rozumieniu jest to esencja zła, że to dziecko zostaje zamordowane pod nawą kościoła.

Podobną wymowę ma scena w „Joannie” Falka, gdzie Wigilia staje się okazją do odrzucenia bohaterki przez jej własną matkę, do wykluczenia obcych. W tych scenach symbolicznych jest pokazana odwrotność przesłania ewangelicznego. Ono spełnia się w działaniu bohatera, który przewycięża wszystkie pokusy, nie myśląc za wiele.

Piątek: Jeśli iść biblijnym tropem, mamy w tym filmie potop. I to w momencie, w którym odbywa się katolicka Pierwsza Komunia. Katolicy świętują swoje połączenie z Bogiem, a Bóg zsyła potop, który zabija Ukraińca mordercę i z którego w jakiś cudowny sposób ratują się Żydzi, będący narodem wybranym i wówczas prześladowanym.

Czy to nie znaczy, że ta komunie katolicka jest fałszywa, skoro Bóg zsyła potop?

Majmurek: Bohater, podobnie jak jego żona, mówi językiem polskiego międzywojennego antysemityzmu, językiem, który był utrwalany przez polski Kościół. Socha mówi o Żydach, że oni zabili Pana Jezusa. Kiedy jego żona przypomina, że Jezus też był Żydem, on nie może w to uwierzyć. Typowe antysemickie przesady polskiego ludu walczą w nim z ewangelicznymi odruchami dobrego serca.

Moim zdaniem obserwujemy tu proces dojrzewania, ale nie do heroizmu, który w polskim kinie jest raczej przypisany bohaterom nieplebejskim. Socha dojrzewa do przekroczenia swoich fantazmatów na temat obcości, inności. I uznania w obcym człowieku, bliźniego – kogoś, z kim może stać na równi, z kim tworzy wspólną, międzyludzką przestrzeń.

Także Żydzi traktują go jak obcego. W nich też się dokonuje proces uznania w nim człowieka. Większość tych Żydów to przedstawiciele mieszczaństwa, hegemonicznej, inteligentnej kultury mieszczańskiej, którzy traktują Sochę jak plebejusza, jako osobę niegodną zaufania. Ten proces wzajemnego dojrzewania i wzajemnego uznania następuje po dwóch stronach – polskiej i żydowskiej. I to jest w tym filmie rzecz najciekawsza.

Sobolewska: Potop odgrywa tu rolę symboliczną, w swoim precyzyjnym, biblijnym sensie. Strumień wody wypływa wszystkie brudy, które w kanałach się nagromadziły. Bardziej oczyszcza, niż niszczy. Ma funkcję nie tyle kary, ile pojednania ludzi z Bogiem.

W scenie Pierwszej Komunii jest sugestia rozdźwięku między tym, co się dzieje na górze w kościele, a tym, co w kanałach na dole. Ale nie myślę, tak jak pan, że ta komunie jest czymś fałszywym. Fałszywe jest wszystko to, co wokół, co ogranicza komunie do „swoich”, co stwarza przestrzeń odrzucenia.

Majmurek: Wyraźnym oskarżeniem pod adresem Kościoła jest sama sytuacja przestrzenna Żydów, którzy ukrywają się pod świątynią. Słyszymy pieśni religijne rozbrzmiewające w nawach katolickiej świątyni, gdy na dole ludzie znajdują się w sytuacji skrajnego niebezpieczeństwa. Samo istnienie tych osób w takiej sytuacji wymusza na każdym chrześcijaninie reakcję etyczną. Tymczasem Kościół stoi obojętny – kiedy dokonuje się wielka dziejowa katastrofa, Kościół jak gdyby nigdy nie odprawia mszę.

Piątek: Można się domyślać, że wielu z tych, którzy śpiewają, pobięłoby do nieba, gdyby tylko wiedzieli, że pod kościołem są ludzie. Oni muszą tam siedzieć cicho, żeby ich ktoś w kościele nie usłyszał.

Sobolewska: To oskarżenie Kościoła katolickiego jako instytucji.

Majmurek: Bo choć wielu ludzi Kościoła w czasie wojny zachowywało się heroicznie, stanęło na wysokości zadania, to Kościół jako całość ponosi moralną współodpowiedzialność za polski antysemityzm. Za to, że tak wielu Polaków ukształtowanych przez Kościół zachowywało się w trakcie wojny tak, a nie inaczej.

Sobolewska: To oskarżenie bardzo mocne. Zastanawiam się, czy ono idzie jeszcze dalej i uderza w religię jako taką. Tutaj przesłanką mogą być inne filmy Agnieszki Holland, jak „Trzeci cud” czy „Julia wraca do domu”. Ona

nigdy nie odrzuca sacrum chrześcijańskiego, tak samo jak żydowskiego. I ona je konsekwentnie zestawia.

My możemy odrzucić te śpiewy jako parodię mszy. Ale możemy zobaczyć w tym brak ludzkiej samoświadomości i współczucia. Tragiczny błąd.

Majmurek: Kościół jako instytucja ma 2000 lat – wypracował chyba w tym czasie narzędzia, żeby się samourefleksyjniać. Syn Józefa i Maryi też urodził się w świecie, w którym dla niego nie było miejsca. Pod okupacją rzymską, w kraju, w którym politykę wyparła brutalna dyktatura imperium, w którym



Anna Sobolewska, profesor Instytutu Badań Literackich, historyk literatury XX i XXI w., prowadzi zajęcia na polonistyce UKSW z filmoznawstwa i literatury XX i XXI w. Jest członkiem Rady Chrześcijań i Żydów



Tomasz Piątek, pisarz, publicysta. Autor książek, m.in. „Heroina” (2002), „Kilka nocy poza domem” (2002), „Bagno” (2004), „Dobry Pan” (2005), „Błogosławiony wiek” (2006), „Pałac Ostrogskich” (2008), „Wąż w kaplicy” (2010)



Jakub Majmurek, krytyk filmowy, współautor książek filmoznawczych, publicysta, filozof, doktorant w Szkole Nauk Społecznych PAN, członek redakcji „Krytyki Politycznej”

Darek Gólik (3)

jego naród był zniewolony. Jego rodzice symbolicznie i realnie nie mogli znaleźć miejsca, żeby on się mógł urodzić. Musieli uciekać.

Cała praca 2000 lat Kościoła nie zdała się na wiele, skoro chrześcijanie w dziecku narodzonego w kanałach nie dostrzegli tego, którego nadejście świętują co roku.

Sobolewska: Błędem założycielskim chrześcijaństwa było zrobienie z Jezusa idola.

Oddzielenie człowieka od Boga, które łączy się nieuchronnie z oddzieleniem swoich i obcych. Skoro my czcimy naszego kochanego Pana Boga, wszyscy powinni być zmuszeni do oddania mu czci albo wytępieni. Jak pogodzić chrześcijańską wiarę w boskość na-

rodzonego dzieciątka i akceptację każdego człowieka jako bliźniego? Ewangelia w zasadzie jest wyjściem poza podział swój – obcy. Ale, jak wiemy z historii, stała się pogłębieniem tej przepaści. I to są dla mnie dogmaty oraz doświadczenia religijne nie do pogodzenia: miłość bliźniego i wiara w słuszność jedynej prawdy.

Wydaje mi się, że jedynym wyjściem jest relatywizacja boskości. Przeniesienie jej na każdego człowieka, na każde dzieciątko. Taką myśl nasunęła mi lektura Tomasa Mertona.

Piątek: Czy to jest problem chrześcijaństwa, czy to jest problem katolicyzmu? Film pokazuje, że katolicyzm jest ignorancją. Bohaterowie katolicy nie wiedzą, że Jezus był Żydem, że Matka Boska była Żydówką. Żydzi znają lepiej Nowy Testament niż katolicy.

Majmurek: To wynika z różnic klasowych między nimi.

Piątek: Polacy są przedstawieni jako ciemny lud. Taki obraz jest uprawniony, bo inteligentne wartości w znikomym stopniu przełożyły się na to, w jaki sposób żyje ogromna większość Polaków.

My lubimy oglądać na ekranie polską inteligencję i lubimy identyfikować Polaków z polską inteligencją. A dla zewnętrznego obserwatora polska inteligencja jest kropelką w oceanie chamstwa.

Majmurek: Ten film jest ważny dla współczesnych dyskusji na temat tego, jakie lud ma miejsce w polskiej pamięci historycznej.

Większość reprezentacji filmowych czasów wojny pokazuje hegemoniczną, inteligentną, nieżydowską, katolicką, mniej lub bardziej postszlachecką polskość. To są Kolumbowie, piękni młodzieńcy z AK, z prozą Conrada w chlebaku, dla których wojna jest czasem wielkiej moralnej próby. To są sanitariuszki z AK, które rozpaczają, że w powstaniu zginął fortepian i na czym one teraz będą ćwiczyć nokturny Chopina.

Nie współgra to z wojennym doświadczeniem większości Polaków, dla których wojna była upokarzającym doświadczeniem przetrwania mimo wszystko. Których opór wobec Niemców polegał co najwyżej na tym, że pędzili bimber wbrew zakazom władzy okupacyjnej.

Piątek: Dla bardzo dużej grupy wojna stała się pierwszym awansem społecznym, kiedy weszli do pożydowskiego mieszkania.

Majmurek: Rzeczywiście w Polsce w czasie wojny dokonała się rewolucja społeczna. →

→ W wielu miasteczkach 40-60 proc. mieszczczyństwa to była ludność żydowska. Kiedy na miejsce wymordowanych Żydów wchodzi Polacy, którzy wcześniej byli bezrolnymi chłopami, kiedy dostają sklep, dom i coś mogą w przydomowym ogródku uprawiać, to jest dla nich awans.

W „Wielkim Tygodniu” Wajdy, który jest próbą panoramicznego przedstawienia społeczeństwa Warszawy okresu okupacji, głównym bohaterem jest dobry, inteligentni Polak, który ratuje Żydów, osaczony przez chamski lud.

Piątek: Miotamy się między dwoma postaciami. Jedna próbuje Polaka uwziąć jako szlachetnego inteligenta. Druga załamuje ręce nad polskim chamstwem z pozycji tego inteligenta, który się oburza na otaczający go chamski antysemityzm, na szmalcownictwo. Ale chamstwo ludu nie do końca jest winą tego ludu. Inteligent, który jest albo genetycznie, albo kulturowo spadkobiercą szlachty, ponosi za prymitywizm tego ludu w dużej mierze winę.

Majmurek: Z plebanem do spółki...

Piątek: Pleban też jest częścią inteligencji.

Kiedy inteligent oburza się na prymitywizm ludu, powinien pamiętać, że za tego ludu morderczymi odruchami jest kilkaset lat pańszczyzny. My do tej pory nie wyzwoliliśmy się z odruchów postfeudalnych.

Majmurek: Film Holland tę dychotomię przekracza. Ten lud, który rzeczywiście jest ciemny, w jakiś sposób dojrzewa do tego, żeby stać się podmiotem etycznym.

Sobolewska: Dla nas osobiście antysemityzm jest najstraszniejszy, najtragiczniejszy w wydaniu inteligentkim. Ciemny lud ma swoją analogię w ciemnej, pełnej nienawiści inteligencji.

Majmurek: Antysemityzm ludu często miał przyczyny ekonomiczne. Bo lud był rozgrywany przez klasy rządzące w ten sposób, że jego gniew ekonomiczny kanalizowano w antysemityzm. Ochrona podburzała biedotę do pogromów, później Niemcy próbowali tej techniki. Działała dobrze w Polsce wschodniej, gdzie endecja miała hegemonię polityczną, i bardzo dobrze na zachodniej Ukrainie, gdzie były silne wpływy nacjonalizmu ukraińskiego. Ale im bardziej w głąb Związku Radzieckiego, tym działała ona mniej. Sprawilo to kilka dekad sowieckiego eksperymentu, jakikolwiek by on nie był zbrodniczy.

Antysemityzm polskiej inteligencji międzywojnia - to byłby bardzo ciekawy temat na film. Mielibyśmy numerus clausus, a później numerus nullus na polskich uczelniach i nie

wprowadził go polski lud. To były postulaty polskiej inteligencji. Na getto ławkowe godziła się większość profesorów.

Polska inteligencja tego rachunku nie zrobiła. Bardziej niż Jedwabne z publicznej pamięci jest wypchnięty przedwojenny antysemityzm polskiej inteligencji.

Sobolewska: Agnieszkę Holland interesuje problematyka dobra i zła nie w skali uniwersalnej, ale w świadomości jednostki. Philipa Zimbardo, który nie zajmował się złem w naturze psychopatów, tylko badał proces uwikłania w zło, interesowało, jak przeciętnie dobry człowiek może stać się mordercą. To może się odbyć w zaledwie siedmiu krokach! Głównymi czynnikami są konformizm, identyfikacja z grupą, lęk przed wykluczeniem. Przyjęcie norm grupowych za własne i stłumienie w sobie wszystkiego, co temu przeszkadza.

Piątek: Tu mamy historię odwrotną: jak zwykły człowiek może stać się bohaterem w siedmiu krokach. Zamiast nagłego przełomu obserwujemy wzywianie się bohatera w sytuację, w której się znalazł. W tej ciemności nie ma jasno zarysowanych konturów. Strona wizualna filmu koresponduje z tym, że przemiana odbywa się stopniowo.

Mamy ciasne, zamknięte przestrzenie, w których się wydaje, że nie można zrobić żadnego ruchu. Klitka głównego bohatera na poddaszu i klaustrofobiczna przestrzeń kanału - te dwie płaszczyzny ciekawie ze sobą korespondują.

Sobolewska: Mocnym kontrastem jest wychodzenie na powierzchnię, do świata zewnętrznego, który jest jeszcze większym zagrożeniem. Ciemności chronią, te wszystkie przestrzenie zamknięte są sferą bezpieczną.

Piątek: Teżę, że jest to film oparty na kalkulacji marketingowej, przygotowałem specjalnie po to, żeby ożywić naszą dyskusję. Popęłniłem po drodze fatalny błąd, bo zobaczyłem ten film...

Zacytuję Konwickiego: „Żeby ocenić, czy film jest dobry, czy zły, głowa jest niepotrzebna, wystarczy dupa. Jeśli dupa po dwóch godzinach siedzenia na krześle nie boli, to znaczy, że film jest dobry”.

Jeśli ja, oglądając film, nie myślę przez dwie godziny o tym, jaka była grupa docelowa, to znaczy, że film jest dobry. Poszedłem do kina przekonany, że zobaczę powtórkę z „Listy Schindlera”. Przez dwie godziny nie myślałem o marketingu, nie myślałem o prze-myśle filmowym, po prostu oglądałem.

To jest film bardzo dobry. Genialny wizualnie, bo pięknie została wygrana ciemność, która paradoksalnie pozwala zobaczyć więcej.

To, co dzieje się w ciemności, czuje się skórą. Mimo podobieństwa fabuły oceniam ten film nieskończenie wyżej niż „Listę Schindlera”, gdzie widać, że aktorzy grają napisane role. Tutaj miałem wrażenie podglądania kawałka rzeczywistości.

Sobolewska: Operatorką jest Jolanta Dyblewska, która jest też reżyserką, autorką dokumentu „Polin”. Przedstawia on przedwojennych Żydów, ich codzienną pracę, świętowanie, obszar dobrych relacji z sąsiadami. Pokazuje też Polskę jako żydowskie miejsce święte, i to w sposób tak mocny, że mamy poczucie, że Żydzi, którzy tu mieszkali, byli nie tylko ofiarami albo sąsiadami, ale że rozdają nieskończone, żywe do dzisiaj dary duchowe.

Wydaje mi się, że w filmie Holland ogromną rolę odgrywają symboliczne obrazy rąk, nie tylko w ostatniej scenie, kiedy widzimy rękę kanalarza, który pomaga wyjść Żydom na powierzchnię. Na Cmentarzu Żydowskim Socha widzi błogosławiące ręce na macewie i rozkłada swoje palce w tym samym geście. I to jest dla mnie mocny symbol mówiący o tym, że „wszyscy jesteśmy Chrystusami”.

Majmurek: Ja bym się radykalnie nie zgodził z opinią o „Polin”. Ten film układa się w głęboko zakłamaną narrację, bo międzywojenną żydowskość bardzo silnie egzotyzuje. Obsadza ją w roli bezpiecznej dla współczesnego mieszczanina, wymazując problem antysemityzmu. To estetyka idealna do multikulturowej fantazji, za którą tak naprawdę nie idzie. Film Holland jest pod tym względem o wiele dojrzałszy. Żydowskość w ogóle tam nie jest egzotyzowana.

Piątek: Jest odwrotnie. To Polacy mówią dialektem. Żydzi mówią poprawną polszczyzną, poprawną niemiecką. Żydzi w tym filmie nie są żydłaczka, nie mają tego akcentu szmonekowego, który był zawsze traktowany w Polsce humorystycznie.

Sobolewska: Każdy twórca wybiera sobie pewien obszar. Ograniczając się do niego, niekoniecznie zafałszowuje całość relacji polsko-żydowskich.

Na te wybory twórców wpływ mają ludzkie losy. Sytuacja osobista Agnieszki Holland, której ojciec został uratowany przez matkę, której ojciec został uratowany przez matkę, została ocalona przez ojca i jego rodzinę, chroniona przez całą okupację. Tak się jednak złożyło, że moja mama miała wsparcie ze strony swoich koleżanek szkolnych, tej zwykłej inteligencji z pensji pani Tymińskiej. Moja mama miała pozytywne doświadczenia ze znajomymi Żydami jako tchórzliwego handlarza albo wąt-



” Agnieszka Holland dla Polaków jest Żydówką, dla Żydów Polką. Znalazła się w pustej szczelinie między jedną kulturą a drugą

TOMASZ PIĄTEK

Piątek: U Holland duże znaczenie ma ta odwrotność, że akurat jej ojciec był Żydem, a matka Polką. Żydowskość dziedziczy się po linii matki i ona dla Polaków jest Żydówką, a dla Żydów jest Polką. Znalazła się w pustej szczelinie między jedną kulturą a drugą. Myślę, że taka pusta szczelina jest dobrym miejscem obserwacyjnym, co widać z tego filmu, w którym potrafiła ona wcielić się zarówno w Polaka, jak i w Żyda. I w Polaka jako człowieka, i w Żyda jako człowieka. Ja nie miałem poczucia, że oglądałem film o Polakach i Żydach. Miałem poczucie, że oglądałem film o ludziach. Mamy tam podwójne przełamanie polskich stereotypów. Stereotypu Polaka szlachetnego inteligenta i stereotypu Polaka tępego szmalcownika. I mamy też przełamanie stereotypu Żyda jako tchórzliwego handlarza albo wąt-

piącego inteligenta, ponieważ jest tam bardzo odważny i przedsiębiorczy Żyd. To on ma w sobie coś z bohatera. Nasz bohater Socha z początku jest raczej antybohaterem.

Piątek: Ja chciałbym, żeby nasi bracia Ukraińcy zrobili film o tym Ukraińcu, który jest też postacią tragiczną. On walcząc w sytuacji ekstremalnej, o zachowanie swojego narodu staje się mordercą. Mówi, że Niemcy to najlepsze, co mogło się przydarzyć Ukraińcom. Ukraińcy przeszli już wtedy swój Holocaust głośno na Ukrainie sowieckiej, miliony ludzi wysiedlono.

Byli rozdarci pomiędzy Polską, która ich wynaradawiała, a sowiecką Rosją, która ich zabijała. Chciałbym zobaczyć, jak człowiek, który za politykę siedział w sanacyjnym więzieniu, dochodzi do tego, że ściga przerażonych ludzi po kanałach. Chciałbym zobaczyć film o ukraińskiej tragedii. Nie wiem, czy Ukraińcy są już na to gotowi. Oni ciągle bronią swojego narodu przed światem.

Sobolewska: Nie mają swoich Grossów. Demaskatorskie prace publicystyczne, historyczne czy socjologiczne albo w ogóle nie powstały, albo nie przedarły się do świadomości społecznej.

Piątek: Żydzi zakładają, że Oświęcim był miejscem, w którym Boga nie było. Być może

Holland też zakłada, że w tych kanałach Boga nie było. Ale ja osobiście wierzę, że Bóg jest sprawcą wszystkiego, co się dzieje i że kiedyś się dowiemy, dlaczego tak miało być.

Sobolewska: Jeśli chodzi o tradycję żydowską, bardzo bliska mi jest odpowiedź rabina Harolda Kushnera, który wydał trzy książeczki. Jedna z nich nosi tytuł „Kiedy złe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom”. Jakie jest jego rozwiązanie? Twierdzi on, że przyczynowo-skutkowa materialna machina świata toczy się, jak się toczy. Można powiedzieć, że to jest bliskie nieubłaganym prawom karmy. A jednocześnie w centrum tego bezdusznego wszechświata materialnego jest współczujący Bóg, cierpiący razem z ludźmi. Wszyscy cierpią w sposób niesprawiedliwy.

Tu akurat rabin Kushner zbliża się do chrześcijaństwa. Ogranicza się do Boga w bliźnim i w obcym - w drugim człowieku, jak Levinas.

Piątek: Ja uważam, że pytanie „Skąd zło?” - podstawowe dla wielu teologów - jest pytaniem źle postawionym. Powinniśmy pytać: „Skąd dobro?”.

Ten świat jest zły. Ja wierzę, że ludzie są źli z natury. Wierzę, że wszyscy zasługują na piekło, więc się nie dziwię temu, że sobie robią piekło na ziemi. Nie wiadomo, skąd w tym wszystkim pojawia się dar z innego wymiaru, jakim są dobro, miłość. Myślę, że powinniśmy zadawać pytanie, skąd to się bierze. To pytanie może nas doprowadzić do Boga.

Majmurek: Powraca tu motyw wybraństwa i ocalaństwa, a wraz z nim pytanie, jak zaakceptować to, że się ocalało. W filmie „Europa, Europa” odpowiedzią jest opierający się wszystkim przeciwnościom losu witalizm bohatera. Tutaj być może odpowiedzią jest wspólnota, która się tworzy na końcu. Która jest wspólnotą stołu, wspólnego spożywania pożywienia. Horyzontalną, radykalnie egalitarną wspólnotą agape, chrześcijańskiej miłości.

Piątek: Ja, jako ewangelik, nie mogę się nie zgodzić. Wieczerza Pańska w Kościele ewangelickim jest taką właśnie wspólnotą. Nie kłęka się przed księdzem, tylko staje w kręgu i dostaje chleb oraz wino. Ja dostaję sok, bo jestem alkoholikiem. Znaleźli sposób, żeby mnie włączyć do tego kręgu.

Sobolewska: Ja z tej czarnej dziury, ze szczeliny pomiędzy chrześcijaństwem a judaizmem, wyszłam w stronę ponadreligijną, w stronę jogi, która łączy elementy obu tych religii. Gdybym więc miała powiedzieć, jaką rolę odgrywam w Radzie Chrześcijań i Żydów, powiedziałabym, że jestem po obu stronach. A może jestem po trzeciej?

Życie jako pamięć

Tylko rozerwanie koalicji wielkiej triady: Wall Street, Biały Dom i Hollywood, może dać początek zmianie, której oczekują miliony kobiet i mężczyzn

JAROSŁAW MAKOWSKI

Nie ma w tym pisaniu taniej pociechy. Próżno szukać naiwnego optymizmu. Jest za to przenikliwość w czytaniu dziejów. Skupienie w podglądaniu świata. Blyskotliwość w formułowaniu ocen. Tony Judt, historyk, publicysta, a przede wszystkim intelektualista z krwi i kości, dowodzi, że idee mają znaczenie. „Jeśli mamy zrozumieć świat, w którym przyszło nam żyć, musimy przypomnieć sobie o potędze idei” – notuje w zbiorze zatytułowanym „Zapomniany wiek dwudziesty”.

Ale jaką wartość mają dziś idee? I kto je tworzy? Czy myśliciele, którzy – jak pisał niemiecki filozof Edmund Husserl – są „funkcjonariuszami całej ludzkości”, gdyż to oni ustalają wzorzec myślenia właściwy danej epoce? Czy i dziś o sposobie postrzegania świata decydują intelektualiści?

Bynajmniej! Intelektualista w świecie, gdzie liczy się kasa, czyli „wzrost gospodarczy”, i „zysk”, a więc zarobki, nie jest w cenie. Przypomina, mówiąc najdelikatniej, dziwaka, który tam, gdzie trzeba jasnych i prostych odpowiedzi, zazwyczaj dzieli włos na czworo. Dlatego intelektualista robi za eksponat, który bardziej nadaje się do parku osobliwości niż na przewodnika mas.

Dziś ludzie chcą rozwiązań szybkich i jednoznacznych. Kto daje takie rozstrzygnięcia? Tworzą je w okamgnieniu tzw. eksperci, którzy w dobie mediokracji skutecznie zamordowali intelektualistów. I to w biały dzień, przy naszej aprobacie. Ekspert powie nam, jak żyć i co robić. Tu i teraz. Doradzi, gdzie najlepiej zainwestować pieniądze. Wyjaśni, jak

przedłużyć orgazm, gdy już skończyłeś 50 lat. Podpowie, gdzie pojechać na wakacje, by się dobrze zabawić. I wszystko to w sposób profesjonalny.

Po oczach bije banalność naszego życia intelektualnego. Dlatego lektura tekstów Judta jest jak łyk zimnej wody po długiej podróży przez pustynię. Cóż więc robi Judt, że tak skutecznie – szczególnie dla tych, którzy nie boją się używać rozumu – przywraca myśleniu powagę?

Zachować pamięć

„Trzeba najpierw zacząć tracić własną pamięć, by sobie uświadomić, że jest ona całym naszym życiem” – zanotował celnie Luis Buñuel. I Judt, w esejach zgromadzonych w zbiorze „Pensjonat pamięci”, pokazuje, że wielki reżyser miał absolutną rację. Żyjemy dopóty, dopóki rozpamiętujemy.

Dla Judta intelektualisty, który żył z mówienia, pisania i publicznych występów, nie mogło być chyba nic strasniejszego niż odebranie mu tych wszystkich możliwości kontaktowania się z ludźmi i ze światem. A jednak tak zdecydował zły los: w 2008 r. zdiagnozowano u niego stwardnienie zanikowe boczne (ALS). To choroba, która skutecznie i systematycznie pozbawiała go stopniowo możliwości poruszania się, pisania. I w końcu mówienia. To, co pozostało, to pamięć. I podróże w jej otchłań.

„Po kilku miesiącach choroby zdałem sobie sprawę, że nocą układam w głowie całe historie” – napisze w „Pensjonacie...”. „Niewątpliwie szukałem sposobu na zaśnięcie, zastępując niezdarne barany złożoną narracją,



z podobnym skutkiem. W trakcie tych ćwiczeń uświadomiłem sobie jednak, że odtwarzam – jakby z klocków Lego – przeplatające się fragmenty mojej przeszłości, o których nigdy bym wcześniej nie pomyślał, że mają ze sobą związek”.

Powaga pisarstwa Judta bierze się z lekcji, jakie czerpie z historii. Sam doda, że najbardziej przemawiało do niego stwierdzenie, iż jesteśmy tylko filozofami uczącymi się na przykładach. A przecież pod względem dostarczania nam brutalnych lekcji życia wiek XX był znamienity. My, tu na Zachodzie, żyjemy – czy to nam się podoba, czy nie – w cieniu zła, jakie przyniosła II wojna światowa. Z jego jądrem ciemności: zagładą. Judt przywołuje opinię Hanny Arendt, która już w 1945 r. prorokowała: „Problem zła będzie zasadniczą kwestią powojennego życia intelektualnego”. To prawda: Holocaust był wstrząsem na tyle znaczącym, że problem zła wdarł się do naszego dyskursu politycznego i moralnego. Nieodwracalnie.

Czy jednak nieustanne mówienie o złu zmieniło nasze życie? Czy potrafiliśmy tak przepracować doświadczenie XX-wiecznego zła, by skutecznie mu przeciwdziałać? Zgoda, że pojawiły się pytania ścinające krew w żyłach, jak choćby to postawione przez Theodora W. Adorno: „Czy po Auschwitz da się jeszcze pisać wiersze?”. By jednak szybko poprawić sobie humor, padały zapewnienia: „Jasne, że się da” i „Nigdy więcej Auschwitz”. Koszmar zagłady przedstawiano jako swoisty wypadek człowieka przy pracy w długich dziejach „produkcji dobra”. Judt twierdzi, i słusznie, że w ten sposób zwyczajnie się oszukujemy. Znow cytuje Arendt, która także dostrzegała to „samozałamywanie”: „Największym niebezpieczeństwem stulecia była obsesja na jego punkcie, prowadząca w rezultacie do ślepoty na liczne małe i nie tak znów małe zła, którymi wybrukowana jest droga do piekła”.

Podstawą myślenia, że zagłada była rodzajem wyjątkowej manifestacji zła, jest przekonanie, że przygotowały ją potwory, a nie ludzie. Diabły wcielone, których podniecały gwałt i cierpienie niewinnych. My, przyzwyczajeni ludzie, czujemy do nich wstręt. Dlatego bierzemy za dobrą monetę siłę sylogizmu: „Zwyczajni ludzie nie mogliby zrobić tego, co zrobiły te potwory. Jesteśmy zwyczajnymi ludźmi, wobec tego nie możemy popełnić takich zbrodni”.

Czyżby? Nieludzkość jest w ludzkiej mocy. Zawsze i wszędzie. Dlatego po Auschwitz była Rwanda, po Rwandzie Srebrenica... Oto zła nowina, o której nie możemy nigdy zapomnieć – przestrzega Judt. Pamięć o niewinnych ofiarach jest wszystkim, co nam pozostało.

Nauczyć się myśleć

Tyle że pamięć ludzka robi się dziurawa jak sito. Zapomnieliśmy – powie z nieskrywaną goryczą Judt – co znaczy wojna, a wraz nią niesione cierpienie i zbrodnia. I zapominamy, co znaczy pokój, względny dobrobyt i bezpieczeństwo, jakim cieszymy się – niemal wbrew logice dziejów – przez ponad pół wieku.

Ten spokój i bezpieczeństwo po wojnie były możliwe, gdyż niemal wszyscy mieli poczucie, że ich gwarantem jest budowa nowoczesnego państwa. A dokładniej – jak napisze amerykański intelektualista – „państwa opatrnościowego, które zabezpiecza potrzeby i minimalizuje skutki ryzyka”. Tyle że wraz z odchodzeniem w niepamięć gorzkich przygód XX w. pojawiły się głosy, że państwo nie tyle jest źródłem błogosławieństwa, co przyczyną naszych ekonomicznych i społecznych kłopotów. A jeśli tak, to jedyną rzeczą, jaką możemy zrobić, jest rozmontowanie państwa, pozbycie się go z naszego życia wszędzie tam, gdzie jest to możliwe. Dzisiejszy dogmat, który obowiązuje w salach wykładowych wydziałów ekonomicznych, w mediach i gabinetach politycznych, brzmi: „Państwo to źródło naszego kryzysu”.

Tony Judt z pasją atakuje ten sposób myślenia. „Musimy na nowo nauczyć się »myśleć państwowo«, wolni od uprzedzeń wobec niego, jakich nabyliśmy wkrótce po triumfalnym zwycięstwie Zachodu w zimnej wojnie” – napisze w „Zapomnianym...”. – „Musimy nauczyć się rozpoznawać niedostatki państwa, jednocześnie śmiało go bronić”. To brawurowa obrona kraju przed neoliberalnymi destruktorami. Gdy posłuchać tych ostatnich, ma się wrażenie, że nigdy nie studiowali historii. Judt wskazuje na konieczność powrotu państwa do naszego krwiobieg społeczny.

Przekonywającą apologię państwa znajdziemy w eseju „Złe ma się kraj”. To tekst pisany z pasją, rodzaj testamentu, jaki Judt zostawia swoim dzieciom i studentom. Można odnieść wrażenie, że ma poczucie porażki, gdy patrzy na świat, jaki zbudowało jego pokolenie. A źródło porażki sprowadza się do następującej diagnozy: zachłysłnieliśmy się mitem nieustannego wzrostu i postępu. →

→ Przez ostatnie dwie dekady wmawiano nam, że dla wzrostu gospodarczego nie ma szklanego sufitu. Ignorowano przestrogi, że mamy mniej ropy, że kończą się zasoby wody pitnej, że matka Ziemia nie przeżyje dalszych dewastacji, że musimy skończyć z rozpasaną konsumpcją. Raczej dowodzą, że jeśli tylko pozbedziemy się staromodnych przyzwyczajęń, takich jak ciężka praca, oszczędzanie, uczciwość czy sprawiedliwość społeczna, to każdy będzie cieszył się dobrobytem. Bo jeżeli chciwość jest dobra, to solidarność musi być zła. Konsekwencją tej filozofii jest największy od 80 lat kryzys finansowy i gospodarczy. Bankierzy, którzy uwierzyli, że „wykonują robotę Pana Boga” (tak o swojej pracy mówi Lloyd Blankfein, szef banku inwestycyjnego Goldman Sachs, grający także polskim złotym), że państwo jest im kulą u nogi, gdyż chce im patrzeć na ręce, doprowadzili nasz świat na skraj przepaści. Anatomie

ich „boskiej roboty” doskonale pokazuje wyświetlany obecnie w kinach film „Chciwość”. To historia, której za wzór posłużył upadek banku Lehman Brothers w 2008 r. – od którego rozpoczął się trwający po dziś dzień kryzys.

Filmowi bankierzy nie kryją, że jeśli w tym biznesie chcesz być pierwszy, musisz trzymać się zasady: „bądź szybszy, bądź mądrzejszy albo oszukuj”. Nie muszą przekonywać, że w ostatnich latach popularnością cieszyła się ta ostatnia strategia. Już wiemy, kosztem milionów ludzi żyjących z uczuciem lęku o byt, że chciwość nie jest dobra, ba, nie jest nawet grzechem. Chciwość jest zarzą. Doprowadziła nas do tego, że martwimy się, czy jutro będziemy mieli pracę, czy stać nas będzie na leczenie, a dzieciom zapewnimy dobrą edukację.

Dzisiejszy świat, pełen nierówności i ryzyka, to również konsekwencje systemu gospodarczego, budowanego na modelu trickle-down economics, czyli na przekonaniu, że przede

wszystkim trzeba stworzyć możliwości rozwoju największym i najbogatszym graczom, a więc korporacjom i bankom, od których bogactwo będzie „ściekać” do mniejszych podmiotów. Tyle że stało się coś zupełnie przeciwnego: bogaci mają jeszcze więcej, biedni jeszcze mniej. Trickle-down economics w praktyce nie działa. Nierówności, jakich „dorobił się” Zachód, a Ameryka w szczególności, nie mają precedensu.

Cóż jednak zobaczyliśmy, gdy banki i wielkie instytucje finansowe stanęły na skraju bankructwa? Okazało się, że jak twoga, to do państwa. W biały dzień dokonano „prywatyzacji zysków i uspołecznienia strat”. Dlaczego? Bo banki ponoć okazały się zbyt duże, by państwo mogło im pozwolić upaść (too big to fail). W kapitalizmie, który stworzyliśmy, nie ma problemu, by rządy za publiczne pieniądze ratowały prywatne wielkie instytucje finansowe, ale gdy trzeba ratować upadające zakłady pracy,

np. fabryki, rządy mówią o wolnym rynku i konkurencji. Czy możemy więc się dziwić, że powstał ruch Occupy Wall Street, który domaga się większej sprawiedliwości, równości i solidarności? Sądzę, że „Złe ma się kraj”, który Tony Judt napisał w 2010 r., może być programowym manifestem Okupujących. Tym bardziej że dziś wciąż słyszę od dziennikarzy, którzy chcą być krytyczni wobec Okupujących, by ci drudzy pokazali program. Programem Okupujących może być esej Judta. A dociekliwym dziennikarzom podpowiadam, by z taką samą dociekliwością pytali o recepty na kryzys ekonomicznych ekspertów.

W „Złe...” zawarty jest opis budowy przyzwoitego państwa. Od czego należy zacząć, by pozbyć się mitu, że wolny rynek jest zawsze i wszędzie błogosławieństwem na każdą bolączkę? Od przypomnienia sobie, proponuje Judt, że nie zawsze tak było. „Myślenie »ekonomiczne«, które towarzyszy nam od 30 lat,

nie jest wrodzoną cechą ludzi. Kiedyś inaczej organizowaliśmy sobie życie”. Odwaga działania bierze się z odwagi myślenia. Trzeba więc pokazać, że istnieje intelektualna alternatywa dla wyznawców TINY (there is no alternative).

Zmienić świat

Zarazem jest jasne, że bój o nowy porządek polityczny i społeczny nie będzie łatwy. Po przeciwnej stronie barykady stoi twardy i silny przeciwnik, którego symbolem jest koalicja wielkiej triady: Wall Street, Białego Domu i Hollywood. Dziś wszystkie te trzy elementy – zarówno potęga gospodarcza (Wall Street), siła kulturowa (Hollywood), jak i władza polityczna (Biały Dom) są ze sobą powiązane. Tylko ich rozerwanie może dać początek zmianie, której oczekują miliony kobiet i mężczyzn. W tym celu potrzebujemy nowych idei. Dostarczyć je mogą intelektualiści, którzy dziś – niestety – w wielu przypadkach stali się „pożytecznymi

idiotami” bankierów i polityków. Tymczasem rola intelektualisty polega na zupełnie czymś innym. Jak przekonuje Judt w „Zapomnianym wieku dwudziestym”, „intelektualiści powinni aktywnie zakłócać spokój – przede wszystkim swój własny”.

Zmienić świat to zmienić sposób myślenia. Albo jeszcze mocniej: zacząć w końcu myśleć naprawdę. Dlatego potrzebujemy intelektualistów takich jak Judt, których rynkowy kapitalizm boi się jak diabeł święconej wody. Lekcję, jaką daje nam dziś Tony Judt, najlepiej opisują słowa amerykańskiego filozofa Ralpha Waldo Emersona: „Każda rewolucja zaczyna się od zmiany myślenia pojedynczego człowieka”. I ty możesz ją rozpocząć. Teraz.

Jarosław Makowski jest publicystą i filozofem, szefem Instytutu Obywatelskiego (www.institutobywatelski.pl). W marcu ukaze się zbiór jego tekstów pt. „Wariacje Tischnerowskie”.

Samochody

Fragment zbioru esejów Tony'ego Judta pt. „Eseje pamięci”

Z daniem matki nasz ojciec miał „obsesję” na punkcie samochodów. Uważała, że ta jego skłonność do wydawania na auta wszystkich naszych oszczędności była nieustannym zagrożeniem dla budżetu domowego. Nie mogę ocenić, czy miała rację, czy też nie – nie ulega wątpliwości, że gdyby to od niej zależało, nasza rodzina poprzestałaby na jednym małym samochodzie kupowanym raz na dziesięć lat, a może w ogóle by się bez niego obezšla – ale nawet w wyrozumiałych oczach kochającego syna ojciec sprawiał wrażenie samochodowego maniaka. Przedmiotem tej manii były zwłaszcza citroeny. Te specyficzne wytwory francuskiej firmy przez całe moje dzieciństwo i okres dojrzewania ozdabiały podwórko przed naszym domem. Od czasu do czasu ojciec pod wpływem impulsu, którego miał szybko pożałować, nabywał coś angielskiego – kabriolet austin A40, sportowego AC Ace, przez dłuższy czas trwała też fascynacja DB Panhardem, o którym będzie dalej mowa, ale poza tym rok w rok jeździł citroenami, o nich mówił i wciąż je naprawiał. (...)



Nigdy do końca nie pojąłem, dlaczego musieliśmy jeździć citroenem. Ideologiczna motywacja mojego ojca sprowadzała się do przekonania, że citroeny to najnowocześniejsze z technicznego punktu widzenia samochody, jakie jeżdżą po drogach. W 1936 r., kiedy francuska firma wypuściła model Traction Avant, z przednim napędem i niezależnym zawieszeniem, było to niewątpliwie prawdą – tak samo jak w 1956 r., kiedy pojawił się model DS19 o seksownie aerodynamicznych kształtach. Citroeny były z pewnością wygodniejsze od większości porównywalnych rodzinnych sedanów, a zapewne i bezpieczniejsze. Czy mniej się psuły, to już inna sprawa. Przed japońską rewolucją motoryzacyjną żadne

samochody nie odznaczały się szczególną niezawodnością, a ja wiele nudnych wieczorów spędziłem na podawaniu narzędzi ojcu, który do późna w nocy dłużył przy jakimś silniku, który odmówił posłuszeństwa. Spoglądając wstecz, zastanawiam się, czy to upieranie się ojca przy zakupie citroenów (w okresie mojego dzieciństwa mieliśmy ich chyba co najmniej osiem) nie miało związku z latami jego młodości. Był w końcu imigrantem, urodzonym w Belgii, dorastającym tam oraz w Irlandii, który dopiero w 1935 r. przybył do Anglii. Przez te lata nauczył się mówić nienaganną angielszczyzną, ale w głębi duszy pozostał człowiekiem z kontynentu. Jego upodobanie do sałatek, serów, kawy i wina często kolidowało

z typowo angielską obojętnością mojej matki na jedzenie i napoje, traktowane jako paliwo dla organizmu. Ojciec nie znosił neski i lubił camembert, tak samo gardził morrisami, austinami, standard vanguardami i innymi popularnymi produktami angielskiego przemysłu, spoglądając instynktownie w stronę kontynentalnej Europy.

Dlaczego staliśmy się „rodziną citroena”, kiedy volkswageny, peugeoty, renault, fiat i cała reszta też były dostępne, a przy tym tańsze? Lubię wyobrazić sobie, że odegrał tu rolę jakiś podprogowy bodziec etniczny. Niebieskie samochody oczywiście nie wchodziły w grę. Opinia o włoskich (przynajmniej tych, na które mogliśmy sobie pozwolić) była wtedy fatalna. Powszechnie uznawano, że Włosi potrafią wszystko zaprojektować, tylko nie umieją skonstruować. Renault skompromitował się aktywną współpracą z nazistami (wskutek czego firma została znacjonalizowana). Peugeot cieszył się uznaniem, ale w tamtych czasach lepiej był znany ze swoich rowerów; w każdym razie jego auta zbudowane były jak czołgi i brakowało im szpanu (ten sam argument wysuwano przeciw samochodom marki Volvo). No i być może przesądził wzgląd na to (choć niewypowiedziany), że założyciel dynastii Citroëna, od którego firma wzięła swoją nazwę, był Żydem.

(...) Kiedy patrzę wstecz, mam chyba więcej wyrozumiałości dla pasji ojca niż wtedy, choć

nasze rodzinne podróże sprawiały mi przyjemność. Widzę w nim dziś człowieka sfrustrowanego, w pułapce nieszczęśliwego małżeństwa, znudzonego swoją pracą, przez którą czuł się chyba nawet upokorzony. Samochody – którymi się ścigał, o których dyskutował, dłużył przy nich, które wiozły go do ojczyzny – były jego towarzystwem. Nie pociągały go piwa, kolegów z pracy nie miał, citroen stał się więc dla niego uniwersalnym towarzyszem i wizytówką. (...)

W wieku 17 lat nauczyłem się, jak należało prowadzić samochód i we właściwym czasie nabyłem pierwsze z wielu aut – oczywiście citroena, małego, taniego 2CV. Choć lubiłem prowadzić, a w końcu miałem wozić rozmaite dziewczyny i żony po wielu krajach Europy i po Stanach, jazda samochodem nigdy nie znaczyła dla mnie tego co dla ojca. Nie przemawiał do mnie urok zimnych prowincjonalnych warsztatów, sam zaś nie miałem odpowiednich zdolności technicznych, porzuciłem więc wkrótce citroena dla mniej zawodnych, choć nie tak egzotycznych marek – hond, peugeotów, a w końcu dla saaba. Co prawda też ulegałem napędzanemu testosteronem zachciankom: z okazji pierwszego rozwodu sprawiłem sobie czerwony kabriolet MG, mam również miłe wspomnienia z przejażdżki otwartym fordem mustangiem nadmorską drogą nr 1 w Kalifornii. Ale zawsze były to tylko samochody, a nie żadna „kultura”.

I to wydaje mi się typową reakcją pokoleniową. My, dzieci powojennego wyżu, dorastaliśmy z samochodami i przy ojcach, dla których były obiektem uwielbienia i pasji. Drogi, które nam się dostały, były bardziej zatłoczone, mniej „otwarte” niż przed wojną i tuż po niej. Jazda nimi raczej nie miała posmaku przygody, niewiele też było do odkrycia, chyba że ktoś zapędził się daleko od tradycyjnych celów podróży. Nasze miasta robiły się coraz bardziej wrogie wobec aut, jeszcze kilka lat wcześniej przyjmowanych z krótkowzroczną życzliwością. W Nowym Jorku i Paryżu, tak jak w Londynie i wielu innych miastach, posiadanie prywatnego samochodu raczej nie ma sensu. U szczytu swej hegemonii samochód symbolizował indywidualizm, wolność, prywatność, oddzielenie się i egoizm w formach najbardziej dysfunkcyjnych ze społecznego punktu widzenia. Jak wiele dysfunkcji był jednak podstępnie uwodzący. Dziś, niczym Ozymandias, każe nam spojrzeć na swoje dzieła i pograżyć się w rozpacz. Ale w swoim czasie sprawiał sporo frajdy.



Tony Judt, „Pensjonat pamięci”, przeł. Hanna Jankowska, Czarne 2012



Zdeptany kwiatuśzek



Aleksander Jabłoński/Forum (4)

Nie miała statusu gwiazdy w Polsce. Była w pół drogi między diwą a dziwadłem

JULIA KUBISA

Włosy sztuczne czy prawdziwe – o, to znam z dzieciństwa. Ach te programy z lat 80., w których Violetta opowiada, że wszystko to dzięki odżywcze z żółtka. Wiadomo, żółtko zmieszane z olejkiem rybcynowym świetnie działa na włosy, więc jak tu nie uwierzyć. Tygrysyca z Magdaleny, kiczowaty styl, wybujala seksualność – to też.

To jedna z moich pierwszych, wczesnodziewczęcych fascynacji kolorowym ptakiem, kobietą ostentacyjnie różną od innych. Z filmu „Dzięcioł” pamiętam tylko ją i nic innego.

W książce o Villas czytam wspomnienia Jerzego Gruzy – że gdy zaczęła karierę, była za gruba, że nigdy nie dawała się inaczej ubrać i uczesać. Tylko te ogromne suknie, niemalże

dragqueenowy makijaż, mnóstwo biżuterii. W ogóle wszystkiego strasznie dużo i wszystko naraz, co przecież jest w złym stylu. Ciekawe, czy Elvisa Presleya też tak wspominali? Czy ktoś namawiał Michaela Jacksona, żeby zrezygnował z białych skarpetek, bo przestały już pasować do czarnych mokasynów?

Villas nie pasowała do żadnego schematu, była po prostu Villas. Teraz pewnie byśmy powiedzieli, że była marką. Co nie znaczy, że schemat jej nie przytłaczał.

Myślę o tej jej domniemanej grubości, o tej kaskadzie złotych loków i myślę o formatowaniu kobiet. O przymuszaniu ich do pogoni za nieosiągalnym, bo wewnętrznie sprzecznym

wzorcem. Bądź szczupła, ale kusząco zaokrąglona. Masz mieć biust, bo to seksowne, ale jednocześnie go nie mieć, by zbyt nie kusić. Masz być „kobieca” – co to znaczy? Czy z racji bycia kobietą nie jestem kobieca? Kto definiuje ten wzorzec? I dlaczego kobietom, które są „kobiecy”, wmawia się nieodpowiedniość?

Villas było przesadnie za dużo i to podwójnie – przez kobiecość i przez styl. Przytłaczała jej sceniczny image, emocje w piosenkach,

że w tym też przesadzała. Bo jak tak można – i dekolt, i krzyż? Pewnie o wierze trzeba mówić skromnie, głosem ścisłym, w spódnicy długiej i bluzce w kolorach ziemi. Nie można tak ostentacyjnie wielbić Jezusa, bo to już fanatyzm. Ale jak inaczej wyobrazić sobie wiarę Violetty? Czemu wymagać, by akurat w tej sferze spuściła z tonu, była pokorna i cicha? Katolicyzm to przecież także kontrreformacyjny rozmach, ostentacyjny rytuał, silne emocje – w tym także „pocałunki w samo serce”.

określają, czym jest dla nich chałtura. Wbrew pozorom to nie przedstawienie w pcimskim domu kultury, ale każdy występ, w który nie wkłada się serca, który wykonuje się bez zaangażowania i traktuje czysto instrumentalnie. „Chałtura to (...) praca w towarzystwie, w którym nie chciałoby się w życiu pracować, a robi się to tylko dla pieniędzy”. Być może wspólna płyta Ciechowskiego i Villas byłaby wydarzeniem. Ale czy na pewno byłyby artystycznym osiągnięciem? Czy Violetta rozwinęłaby

a nieprawdopodobne historie w wywiadach wytrącały z równowagi. Ten akcent, miękki, pieszczotliwy, przez który każde zdanie brzmi tak okrągłutko, słodko i niepoważnie. I jeszcze włosy, rzęsy, biust i talia. Totalna cielesność, przez którą trudno było traktować ją jak prawdziwą poważną artystkę. Ach, ten cały czas obowiązujący, XIX-wieczny podział na świętą i dziwkę. Cieleśność jest wulgarna, cielesność to grzech.

A skoro o grzechu. W latach 90. Villas całowała nas wszystkich „prosto w samo serce” i śpiewała z wielkim krzyżem spoczywającym na obłędnym dekolcie. Zaglądam na internetowy blog o Violetcie i wychodzi na to,

We wspomnieniach Mariusza Szczygła pojawia się historia zaprzepaszczonej szansy na album Villas z Grzegorzem Ciechowskim. Nie nagrała go, bo poczuła w domu Ciechowskiego i Potockiej grzech. Naiwna, grzech poczuła, a przecież płyta mogła być świetna. Może i płyta byłaby dobra, ale zdziwienie tą sytuacją to chyba brak próby zrozumienia Villas. Wygląda na to, że dla niej sztuka i życie, śpiewanie i bycie z innymi ludźmi splatało się w jedno.

Bycie artystą to bycie szczerym ze sobą i ze sztuką, którą się uprawia. W badaniach nad aktorami na warszawskim rynku pracy opisanych w książce „POLAKTOR” autorstwa Wiesławy Kozek i niżej podpisanej aktorki jasno

pełną skalę swojego głosu w tak niekomfortowej atmosferze? Biorąc pod uwagę, że niewiele później Ciechowski porzucił Potocką dla niani, być może Villas pierwsza poczuła, że nie chce pakować się we współpracę z ludźmi, których wzajemne relacje są nie do końca szczere. Swoją drogą, Violetta Villas nie była chyba aż tak wielką dewotką, skoro zaśpiewała „Kochaj mnie, a będę twoją”, wcielając się w portową dziwkę. Dzięki temu, że to właśnie ją Kazik Staszewski zaprosił do współpracy, piosenka nabrała dramatycznego, przejmującego wyrazu – nie ocierając się o wulgarność.

Wulgarności i kiczu jest teraz w polskim show-biznesie sporo. Natomiast nie ma →

→ w Polsce żadnej diwy tej miary. Pretenduje Edyta Górniak, ale powiedzmy szczerze, czy ktoś jest w stanie wymienić jakąkolwiek inną piosenkę poza „Jestem kobietą”? Diwa ma nie tylko głos – takich nie brakuje. Musi mieć w sobie szaleństwo, wielkość, rozmach, ostentacyjną przesadę, musi wzbudzać emocje. Diwa znaczy boska. Diwy się nie lubi – ją się wielbi. Villas nie miała takiego statusu w Polsce. Była w pół drogi między diwą a dziwadłem, w dodatku bardzo przegrany po transformacji gospodarczej. Piosenki V.V. nie pasowały do prywatnych stacji radiowych opartych na jednym popowym formacie. Znowu nieprzystawalność, tym razem komercyjna. W PRL była zbyt ostentacyjnie kolorowa i błyszcząca, a w III RP zbyt PRL-owsko prząsna. Pamięć o Villas wśród młodych roczników pielęgnował chyba tylko portal Pudelek.pl.

We wspomnieniach o niej szczególną uwagę zwracają kompleksy – kompleks Lewina Kłodzkiego w Warszawie, kompleks Polski w USA. Kompleks wynikający z poczucia nieprzystawalności do wizji artystki, do wizji kobiety, do wizji dobrego smaku. Wieczny polski kompleks niedoskonałości zderzający

się z odwiecznym polskim resentymentem wobec tych, którzy mają talent. Nasza kultura nie jest kulturą sukcesu. Nie cenimy ani ciężkiej pracy, ani kolorowych ptaków. Polska kultura oparta jest na fascynacji „piękną katastrofą”. W pewnym sensie Villas się w ten wzorzec wpasowała. Miała być kariera w Paryżu i Las Vegas, było stopniowe dziwaczenie, sfera psów, ubóstwo i śmierć w okolicznościach, które bada prokuratura. Wspomnienia z Las Vegas są poruszające – być może gdyby została tam dłużej, gdyby mogła współpracować z menedżerami, którzy rozumieli fenomen diwy, może udałoby się jej okiełznać światła z powodu bujnej figury i osobowości. Ale czy rzeczywiście udałoby się, gdyby Violetta nie musiała wracać do chorej mamy? Przykład wielkich i tragicznych postaci show-biznesu, od Elli Fitzgerald do Amy Winehouse, pokazuje, że niekoniecznie. Artystki często stają wobec sprzecznych społecznych wymagań – widzowie chcą jednocześnie szaleństwa i profesjonalizmu. A wokół ludzi utalentowanych rzadko znajdują się szczerzy i cierpliwi przyjaciele.

Fascynacja Violettą to zerwanie pepowiny łączącej nasz pokoleniowy gust z upodobaniami estetycznymi naszych rodziców. Dla nich kicz, dla nas camp. Villas to „Zdeptytany kwiatuśzek” Ronalda Firbanka, tak straszliwie przesłodzony, przewrażliwiony, hiperemocjonalny, że aż nieskończenie piękny. Katoicka, prowincjonalna niewinność skorfantowana z bujną figurą i wielkim, porwijącym głosem.

Ale również camp polityczny – wywracający rzeczywistość na opak, podważający obowiązujące estetyczne kanony. Celebryujący afektację. Wyśmiewający mit racjonalności, Homo economicus, do którego dążą współczesne społeczeństwa – bo racjonalność opieka się na represji emocji i dopasowaniu do jej słusznej formy.

Sekundy po tym, jak w Internecie pojawiła się informacja o śmierci Violetty Villas, zmienił się Facebook – kolejni znajomi zamieszczali piosenki, cytowali, wyrażali smutek i żal. Dziewczyny i chłopaki z mojego pokolenia geje, lesbijki i hetero, wszyscy składali hołd wielkiej diwie polskiej estrady. Dla nas „Do ciebie, mamó” to klasyk wszech czasów.



Library | Develop | Slideshow | Print | Web

Navigator

- Presets
- Snapshots
- History
- Collections

Histogram

ISO 200 4.1mm 1/250 1/25

Basic

Treatment: Color Black & White

WB: As Shot

Temp: 5150

Tint: +1

Tone: Auto

Exposure: 0.00

Recovery: 0

Fill Light: 0

Blacks: 13

Brightness: +51

Contrast: +50

Presets

Clarity: 0

Vibrance: 0

Saturation: 0

Tone Curve

Previous Reset

Twoje zdjęcia zawsze w porządku

Uporządkuj swoje wszystkie zdjęcia. Tylko z „Rzeczpospolitą” kurs Adobe Lightroom. Przekonaj się, jak proste może być importowanie zdjęć z aparatów cyfrowych, selekcjonowanie, edycja i szybkie tworzenie przejrzystych zestawień katalogów zawierających nawet tysiące zdjęć.

Adobe Lightroom – w środę 18 stycznia

Wydanie z płytą dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.

KSIĄŻKI

Piekiło Kobro

Katarzyna Kobro to przykład niezłomnej artystki. „7 rozmów” przynosi garść bardzo mrocznych szczegółów

JACEK TOMCZUK

Jej ostatnie lata to nieustanna walka. Z mężem Władysławem Strzezińskim o córkę, z sądami o udowodnienie, że nie współpracowała z hitlerowcami, z urzędami o jakąkolwiek pracę, z chorobą nowotworową o życie. Na sztukę zabrakło już czasu i sił: cztery niewielkie akty, kilka rysunków, to wszystko. Kto pamięta jeszcze Katarzynę Kobro? Kilka osób, które były dziećmi jej przyjaciół w Łodzi. Garstka uczniów ze szkoły w Karolewie, gdzie przez rok uczyła rysunku. Studenci Strzezińskiego, których uczył w drugiej połowie lat 40. nowoczesnej typografii. Przynośli do mieszkanka Kobro pieniądze od męża na utrzymanie córki. Jak ją zapamiętali i czy z tych okruczeń można zbudować obraz najwybitniejszej polskiej artystki awangardowej XX w.? Przy niewielkiej liczbie zachowanych dzieł i braku podstawowych dokumentów (począwszy od aktu urodzenia) każda obserwacja wydaje się ciekawa, jak ta o pokoju z prawosławną ikoną i pocieszeniu, jakie ta zacięta nowatorka znajdowała w cerkwi. Niemal we wszystkich rozmowach i po raz pierwszy przywoływanych zeznaniach świadków z procesu o odebranie praw rodzicielskich Kobro nad córką, czego domagał się Strzeziński, wraca obraz biedy, w jakiej żyła cała rodzina, a po separacji sama Kobro z Niką. Bieda w czasie wojny nie dziwi. Żeby prze-



Katarzyna Kobro i Władysław Strzeziński na wakacjach w ulubionych Chałupach na Półwyspie Helskim, 1928 r.

żyć, ona szyła szmaciane lalki oraz zwierzątka. On na zamówienie malował portrety i kopie martwych holenderskich natur. Razem szli torby z grubego materiału łączonego z dyktą. Pod koniec wojny, kiedy skończyły się zapasy drewna na opał, rzeźbiarka schodzi do piwnicy i rąbie swoje rzeźby, które jeszcze niedawno ratowała z narażeniem życia. Na tym drewnie gotuje córce ciepłą kaszę. „Obje małżonkowie używali nadmiernie proszków od bólu głowy, tzw. kogutów, ze względu na ich zdrowie odradzałem używanie ich” – zeznał w 1947 r. ks. Adam Jurgielewicz. Tyle że w przypadku Kobro po zwolnieniu jest jeszcze gorzej. Jak to możliwe, by w Łodzi, gdzie właściwie przeniosło się całe kulturalne życie Polski, działała „Kuznica”, powstawały Instytut Włókniennictwa, filmówka, ona nie mogła znaleźć pracy? Książka Marzeny Bomanowskiej tylko częściowo odpowiada na to pytanie. Wydaje się, że jeszcze przed wojną para cieszyła się w tym mieście zarówno szacunkiem, jak i złą sławą dziwaków oraz despotów. Agnieszka Minich, córka pierwszego dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi, wspomina, jak Strzeziński w latach 30. właściwie chcieli podporządkować muzeum swojej wizji, niemal decydować, jak powinny wisieć prace. Nie bez znaczenia był aspekt prywatny. – Strzeziński oddali pismo mojego ojca do grafologa, żeby poznać jego słabe punkty. Podczas towarzyskie-

go spotkania zaczęli je wymieniać – opowiada Minich. A może swoje dołożył też Strzeziński? Wiele wskazuje, że konflikt małżonków stał się sprawą publiczną, zatrudnienie jednego oznaczało wypowiedzenie wojny drugiemu. Silniejszy okazał się Strzeziński, w pamięci rozmówców to on zablokował przyznanie małżonce Katedry Rzeźby w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych (choć brak dokumentów). A może nieufność nowej władzy wzbudza jej pochodzenie: Rosjanka o niemieckich korzeniach, w Łodzi mieszka od 1931 r., ale wciąż jest obca, mówi z akcentem. No i ten proces. Bomanowska dotarła do obszernej dokumentacji procesu wytoczonego Kobro za „odstępstwo od narodowości polskiej”. Kobro, czując się Rosjanką, podpisała w 1940 r. tak zwaną listę rosyjską, uprawniającą do zwiększonego przydziału chleba i chroniącą przed wywózką. By zyskać te przywileje, deklaracja lojalności wobec okupanta musiał podpisać również współmałżonek. Zenobia Karnicka, badająca od wielu lat twórczość Kobro, twierdzi, że to wymuszenie stało się początkiem końca małżeństwa. „Przyjmując w tych warunkach punkt widzenia żony na jedność rodziny, mąż musiał wyrzec się polskości, a to dla niego oznaczało całkowite zaprzeczenie własnej tożsamości. I tego Strzeziński nie mógł wybaczyć żonie”.



Marzena Bomanowska, „7 rozmów o Katarzynie Kobro”, Muzeum Sztuki, Łódź 2011, s. 181, 30 zł

Z „7 rozmów” wynika, że Kobro była w tym związku jak pielęgniarka, służąca i artystyczny partner w jednym. Strzezińskiego spotkała w moskiewskim szpitalu, gdzie trafił prosto z frontu, na którym stracił rękę, nogę i wzrok w jednym oku. Zimą nie mógł dać sobie rady na ośnieżonych chodnikach, ona wzięła go na sankach. Po narodzinach Niki w 1936 r. zmieniło się wszystko, do tej pory była opiekunką męża, teraz miała małe dziecko. Książka Bomanowskiej to właściwie kronika narastającej samotności. Jej apogeum nastąpiło, kiedy Strzeziński po ogłoszeniu socrealizmu został wyrzucony z akademii, a Kobro zachorowała na raka. On dzięki wstawiennictwu przyjaciół dostaje posadę dekoratora wystaw sklepowych. Tylko można się domyślać, jak wstrząsający musi być widok mężczyzny bez ręki, nogi, widzący tylko na jedno oko, który musiał wchodzić na drabinę, ciąć, kleić dekoracje do niemal pustych sklepów. Ona zabroniła córce poinformować ojca o jej śmierci i dacie pogrzebu. Kobro zmarła w 1951 r., Strzeziński rok później, Nika trafiła do domu dziecka.

Chemia i los...

czyli wspaniałe laboratorium prozy Primo Leviego

Jeżeli może najbardziej zdumiewające jest to, że kiedy po lekturze „Układu okresowego” Primo Leviego czytelnik (lub czytelniczka) rzuci okiem na pochwalne noty umieszczone na okładce książki – czasy są takie, iż noty takowe najlepiej czytać właśnie po lekturze właściwej – dozna on (lub ona) przyjemnej niespodzianki. Bo tym razem, miast zwyczajowych andronów, czytamy na okładce zachwyty Saula Bellowa (wyrażającego „radość i wdzięczność”) oraz Itala Calvina, który twierdzi, iż „Układ...” „to najlepsze wprowadzenie do psychologicznego świata jednego (...) z najbardziej utalentowanych pisarzy naszego czasu” – i nie ma w tym zapewne żadnej przesady.

Primo Levi (1919–1987), turyński Żyd, który przeżył Auschwitz i dał potem jedno z najważniejszych literackich świadectw czasu zagłady („Czy to jest człowiek?”, 1947 r.), opublikował „Układ okresowy” w roku 1975 – i dopiero teraz (zbyt późno) mamy jego polski przekład. Zbyt późno, bo ten cykl krótkich autobiograficznych opowiadań to książka, która nie tylko wywołuje „radość i wdzięczność” wobec autora, lecz może sporo czytelnika (także gdy czytelnik jest, na przykład, polskim pisarzem) nauczyć. Levi był z zawodu (i pasji) chemikiem, tytuł jest więc nieprzypadkowy: tytuły wszystkich 21 tekstów, osnutych wokół zdarzeń z życia autora (przedwojennego, wojennego i powojennego), to nazwy pierwiastków chemicznych, które wprost lub metaforycznie wiążą się z każdym z epizodów. Mamy więc jasny, niemal „laboratoryjny” koncept, który jednak – jak to często bywa z tego rodzaju pomysłami – nie tylko książce nie ciąży, lecz przeciwnie – wynosi ją, dzięki talentowi autora, ponad poziomy „zwykły” (cudzystwo) dotyczy zarówno niezwykłości życia Leviego, jak i „zwykłości” jakiegokolwiek narracji autobiograficznej) opowieści o własnym życiu. Levi rozgrywa napięcie

między „sztucznością” a „szczerością” autobiografii – uzyskując rzecz w tego rodzaju opowieści wcale nieczęstą – przejmującą, nienaiwną wiarygodność, płynącą z samoświadomej konstrukcji. Jego autoanalizy, portrety przodków i przyjaciół, obrazy zbiorowości, do których trafiał, są więc precyzyjne, niepospolite i wzruszające. Może najbardziej zdumiewające są jednak porywające opisy czysto chemicznych poczynąń autora. Jesteśmy bowiem na kartach „Układu...” świadkami przedziwnej reakcji, dzięki której przenudne, zdawałoby się, relacje o tym, jak to „oddziela się piłąk plasterek metalu i przypala nad palnikiem Bunsena” i co z tego wynika, czyta się



Primo Levi przeżył obóz koncentracyjny dzięki pracy w laboratorium chemicznym

jak sensacyjną narrację, przy której niech się chowają klechdy o Jamesie Bondzie et consortes, i żałuje, że się nie strawiło życia w towarzystwie wyciągów, kolb i próbowek. To właśnie potrafił zdziałać literatura. Tylko tyle. Aż tyle.



Primo Levi „Układ okresowy”, przeł. Zofia Koprowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011, s. 340, 42,90 zł

TEATR

Msza na afisz

Spektakl Żmijewskiego pokazał, że w Polsce o katolicyzmie da się mówić językiem innym niż teologiczny. Eksperyment się udał. „Msza” wraca do teatru

René Magritte był jednak genialny. W 1928 r. namalował na płótnie fajkę i napis „Ceci n'est pas une pipe” (To nie jest fajka). W ten prosty sposób belgijski artysta objaśnił zasadę działania sztuki; odsonił jej tajemniczy mechanizm. Oglądamy fajkę, ale żadnej fajki przecież nie ma. Co zatem widzimy? Płótno? Rozsmarowaną na nim farbę? Pojęcie? Wyobrażenie? W tym miejscu chciałyby się powiedzieć, że geniuszem jest również Artur Żmijewski. Ale nie, geniusz jest figurą anachroniczną, współcześni artyści nie mają już takiego słowa w wokabularzach. Pozostaliśmy więc przy stwierdzeniu, że Żmijewski jest dziś

cokolwiek osamotniony w marszu ku intelektualnym wyzwaniom i nowym punktom widzenia. W takim marszu przekracza się różne granice, pilnowane przez strażę moralności, obyczaju, dobrego smaku i świętości. Trzeba powiedzieć, że owe granice są dziś o wiele mniej szczelne niż np. w latach 90., kiedy każdy przekraczający je artysta wywoływał alarm i skandal. Ale i tak sztuka polska nigdzie się ostatnio nie wybiera. Artyści zdają się dobrze czuć na tym powiększonym terytorium i robią swoje, rzadko podejmując ryzyko. Wyjątkiem od tej reguły jest Artur Żmijewski. Odnosił sukces, ale nie zgnuśniał, powodzenie nie stępilo instynktu polemicznego tego artysty, który zawsze jest gotów pokłócić się z rzeczywistością. I nawet jeżeli jest sam, to dwoi się i troi, a role, w których występuje, są jeszcze liczniejsze. Widzieliśmy już bowiem Żmijewskiego w roli artysty, kuratora, performera, filmowca, eseisty, teoretyka, dyrektora artystycznego „Krytyki Politycznej”, a nawet dyrektora pewnego fikcyjnego więzienia laboratorium. Za trzy miesiące zobaczymy w Berlinie przygotowane przez Żmijewskiego Biennale Sztuki, które ma być inne niż wszystkie biennale. I choć polski artysta płonie w ogniu przygotowań, zdążył jesienią zainscenizować na deskach warszawskiego Teatru Dramatycznego „Mszę”. „To nie jest msza” – mógłby za Magritte powtórzyć Żmijewski, pomimo

tego, że widzowie nie zobaczyli w Dramatycznym niczego innego, jak właśnie katolickie nabożeństwo, z czytaniem, kazaniem, podniesieniem, pieśniami i zbieraniem na tacę. Msza nie została jednak odprawiona, lecz odegrana. Celebryjący ofiarę ksiądz był aktorem, ołtarz rekwizytem, zaś publika – cóż, publika pozostawała rozdarta między odruchem uczestnictwa (większość z nas schemat zachowań w kościele ma zatopiony w pamięci ciała) a świadomością, że „to nie jest fajka”. Ktoś powie, że teatr wywodzi się przecież z misterium, a zacieranie granicy między spektaklem a rytuałem to jeden z wielkich teatralnych tematów XX w. Sek w tym, że Żmijewski nie jest Grotowskim i nie jest człowiekiem teatru, lecz artystą, który konceptualne myślenie wysłał z mlekiem matki sztuki. Jego „Msza” nieprzypadkowo tkwi w cudzysłowie, sensem gestu Żmijewskiego nie było wprowadzenie elementu rytualnego w przestrzeń sztuki, lecz przeciwnie – wypompanie z nabożeństwa rytualnych soków i pozostawienie czystej formy. Większość widzów w Polsce scenariusz katolickiej liturgii mszy zna na pamięć, a jednak czegoś takiego jeszcze nie widzieliśmy. Czy warto to zobaczyć? Pytanie jest retoryczne w kraju, w którym religia jest fundamentalnym składnikiem kultury. Dlaczego o tym mówić teraz, skoro „Msza” została odegrana w październiku? Otóż dlatego, że eksperyment Żmijewskiego wchodził teraz do Dramatycznego jako zwykły, repertuarowy spektakl. To subtelna zmiana, widzowie kolejnych przedstawień nie zobaczą nic innego niż ci, którzy przyszli do teatru kilka miesięcy temu (i ci, którzy co niedziela uczęszczają do kościoła). Różnica jest subtelna, ale ważna. Dzięki „Mszy” współczesna kultura stała się na moment przedmiotem zainteresowania prawniczych mediów, co zdarza się rzadko, ale spektakl nie skończył się skandalem, zamieszkaniami ani pikietą przed teatrem. W tym sensie eksperyment się powiódł, okazało się, że o zasadniczym składniku polskiej świadomości, jakim jest katolicyzm, da się dyskutować z pozycji innej niż punkt widzenia wyznawcy. Wprowadzenie „Mszy” do repertuaru to znak, iż sytuacja, która jeszcze w październiku wydawała się wyjątkowa, staje się zupełnie normalna.

STACH SZABŁOWSKI

„Msza”, inscenizacja: Artur Żmijewski. Teatr Dramatyczny w Warszawie, spektakl 22 stycznia

Testament pasterza



Stare szaty cesarza, za to te najlepsze – tak w skrócie można opisać ten album

ANNA GROMNICKA

Pierwsza od ośmiu lat płyta 77-letniego barda nie będzie dla nikogo zaskoczeniem. Leonard Cohen powiedział już to, co najważniejsze, w swoich epokowych piosenkach. Ale na „Old Ideas” zbiera to wszystko w jeden wiersz, który dla niego, jeszcze bardziej niż dla nas, jest początkiem pożegnania artysty ze światem. Metafizyka, miłość, erotyka i pokorny dystans do siebie – wszystko to znajdziecie na tym albumie. Gitara,

fortepian, elektryczne pianino i skrzypce są tu tylko kameralnym tłem, przez które sączą się wzruszające słowa testamentu Cohena. W piosence „Going Home” Kanadyjczyk o sobie śpiewa tak: „Chciałbym pomówić z Leonardem/ Jest sportowcem i pasterzem/ Jest leniwym łajdakiem, mieszkającym w hotelu”. Poplątana przeszłość barda miesza się z teraźniejszością, zgoda na świat z rozbiorem go na

częstki, a miłość jak chyba nigdy jeszcze łączy się z poczuciem winy („Crazy to Love You”). Wielki moralista? Tak. Lecz przecież zawsze nim był. Czyż nie?



★★★★★
Leonard Cohen
„Old Ideas”
Sony Music Polska



★★★★
Lisa Hannigan
„Passenger”
PIAS/Universal

Wygadany jak Obama

Ostatnia wielka rapowa płyta 2011 roku

Od lat 90. minęło sporo czasu, ale Common nigdy nie wypadł z rozgrywki o miano najlepszego mikrofonu Ameryki. Czasem tylko wygórowane ambicje artysty powodowały, że łatwiej go było szanować, niż słuchać. Tytuł ostatniej płyty – „The Dreamer, The Believer” – może być w tym kontekście nieco mylący. Gospodarz mniej bowiem marzy, za to chętnie operuje konkretem. Przypomnijmy, że „stał się dla hip-hopu tym, kim Obama jest dla polityki”. Mówi ludziom, jak dobre ma życie i że podobny sukces jest w ich zasięgu. A słuchacza taka postawa tylko cieszy, bo wiąże się z nią Common

dbający, by potok jego wymowy frapująco meandrował. Czyli najlepszy, jaki może być. Sukces dziewiątego studyjnego albumu bierze się również z pracy grona towarzyszących wokalistów, a także postawy producenta No I.D. To ten jegomość, który na salony wprowadził samego Kanye'a Westa. Lata doświadczenia procentują, chemia jest znakomita, przestrzenne bity zaś zupełnie narkotyczne. I jak narkotyki uzależniają. Na szczęście nie ma powodu, by się z „The Dreamer, The Believer” leczyc. **MF**



★★★★★
Common
„The Dreamer, The Believer”
Warner

Hochsztaplerzy

Magazyn „NME” okrzyknął The Big Pink największym odkryciem 2009 roku. Dziś widać, jak mocno się przeliczył

Można mieć wypasione studio, kupić drogiego sprzętu, nowoczesnych instrumentów i jeszcze więcej patentów technicznych w głowie. Można być porządnie osłuchanym i fajnie wyglądać na zdjęciach. Wbrew pozorom to nie wystarczy, aby założyć zespół i nagrać dobrą płytę. Pomimo sporego doświadczenia na scenie muzycznej Robbie Furze i Milo Cordell jakoś zapomnieli o tym, kiedy debutowali trzy lata temu. Na „Future This” w końcu

postanowili przyłożyć się do reperaturu. Słuchać, jak się starają się, utrwalić w pamięci słuchacza refren „Hit the Ground (Superman)”. Problem w tym, że melodie wpadają jednym uchem i wypadają drugim. Dotychczasowe gęste i ponure brzmienie grupy nabrało popowej lekkości, aranżacje większego rozmachu – niestety zbyt często czuć w tych utworach nieświeży powiew lat 80. The Big Pink mogli być przynajmniej dobrymi rzemieślnikami, a tak są tylko alternatywnymi hochsztaplerami. **JAK**



★★★
The Big Pink
Future This
4AD/Sonic

Spóźniona pasażerka

Nowy irlandzki powód do dumy ma na imię Lisa

Jej pierwszy album „Sea Saw” ukazał się w Polsce z prawie dwuletnim opóźnieniem, a drugi „Passenger” spóźnił się już tylko o pół roku. Po drodze Lisa Hannigan zaliczyła występ na Orange Warsaw Festival i trafiła na playlistę Radia Zet, ale jej muzyka jakoś nie chwyciła u nas tak jak na Wyspach Brytyjskich i w Stanach Zjednoczonych. Jak jeszcze można ją zareklamować? Dla alternatywnych słuchaczy krótki apel – wyobraźcie sobie, że w Harvey zaszływa się gdzieś na walijskiej wsi, zapomina o wielkiej polityce, uczy się grać na banjo i próbuje nagrać popową płytę. Dla szerszej publiczności mała prośba – wyobraźcie sobie, że Katie Melua zaczyna traktować siebie z przymrużeniem oka, kończy z krzykliwym makijażem, ogranicza spożycie cukru, wynajmuje tańsze studio i zaczyna pisać lepsze piosenki. Można też po prostu posłuchać na próbę np. „Home”, „Knots” czy doskonałej ballady „Safe Travels (Don't Die)” albo od razu całej płyty. **JAK**



★★★★
Lisa Hannigan
„Passenger”
PIAS/Universal

Matnia na Brooklynie

Co to za rzeź, z której wychodzi się bez zadrapania

MICHAŁ OLESZCZYK

W pierwszym ujęciu nowego filmu Romana Polańskiego kamera przygląda się grupie chłopców, spośród których jeden sięga po kij i wymierza zamasyzty cios w szczękę drugiemu. Gdyby nie kolor i szeroki ekran, moglibyśmy pomyśleć, że oglądamy „Rozbijemy zabawę” (1957 r.) – pamiętny debiut reżysera.

Tytułowa rzeź odnosi się do konfrontacji w obrębie mieszczańskiego czworokąta, rozegranej w jednym wnętrzu przez creme de la creme światowego aktorstwa (Jodie Foster, John C. Reilly, Christoph Waltz, Kate Winslet). Mąż i żona to rodzice chłopców ukazanych na początku: syn Michaela i Penelope jest ofiarą ciosu (z wybitnymi siekaczami), a potomek Alana i Nancy to wymachujący patykami obiekt inwektyw. Czy dorosłym uda się dogadać co do reprimendy, odszkodowania i moralnej lekcji na przyszłość? Film sugeruje, że idea cywilizowanego konsensusu to mrzonka. Burzuazja może i ma dyskretny urok, niemniej

pod płaszczykiem konwenansu kryją się atawizmy. Kto widział „Nóż w wodzie” (1962 r.), nie będzie taką konkluzją zaskoczony.

„Rzeź” jest wirtuozerkim popisem techniki reżyserskiej i aktorskiej. Polański podaje kolejne sceny z precyzją tak wielką, że widz niemal słyszy tykający w tle dramatyczny metronom. Całość sprawia jednak kłopot oczywistością i nieznośną płycizną.

Finalowe ujęcie, w którym przez długie minuty przyglądamy się brooklyńskiemu bulwarowi z Manhattanem w tle, to czysty Polański. Ten sam chwyt – nagle wycofanie kamery w celu chłodnego ukazania, jak kręci się obojętny na wszelkie rzezie świat – wieńczył i „Dziecko Rosemary” (1968 r.), i „Chinatown” (1974 r.).

Cały film traktuje o różnych formach agresji – od podwórkowej, do korporacyjnej (w wykonaniu Alana), ale trudno się przejąć wnioskami wyłożonymi z symetrią godną szkolnej rozprawki. Co to za rzeź, z której wychodzi się bez jednego zadrapania?

★★★★

„Rzeź”
reż. Roman Polański,
Francja – Niemcy – Polska
– Hiszpania 2011, Kino Świat, 79',
premiera 20 stycznia

Koń, który wzrusza

Najnowszy film Stevena Spielberga jest ckliwy, patetyczny i kiczowaty

Zieło opowiada o pewnym koniu, który z angielskiego gospodarstwa trafia na pola bitew I wojny światowej. Utrzymane zostało ono w konwencji kina rodzinnego, ale z drugiej strony pokazuje rzeczy, które się w niej nie mieszczą: zabijanie, przemoc.

Wszystkie te okropności przedstawione są w sposób dość oględny (najdrastyczniejsza scena to zaplątanie się konia w drut kolczasty), co zdecydowanie odbiera filmowi realistyczny wymiar. Trochę więc nie wiadomo, do kogo „Czas wojny” jest adresowany: dla małoletnich widzów może być zażyty okrutny, dla dorosłych – zbyt naiwny.

Stosunkowo najlepiej wypadają pierwsze sekwencje. Ta rozgry-

wająca się na farmie Narracottów (dobre role Emily Watson i Petera Mullana) walczących o utrzymanie gospodarstwa. I kolejna, której bohaterami są dwaj niemieccy żołnierze. Im jednak dalej w las, tym bardziej film brnie w nieznośny patos.

Spielberg w „Czasie wojny” wyraźnie nawiązuje do starego kina hollywoodzkiego, pragnie wskrzesić emocje, które towarzyszyły dawnym, epickim dziełom. Ostatnie kadry to wręcz kalka „Przeminęło z wiatrem”. Te odwołania tylko wypuklają fakt, że oto mamy do czynienia z produktem trzeciej świeżości.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

★★

„Czas wojny”
reż. Steven Spielberg
USA, 2011,
Forum Film Poland, 147',
premiera 13 stycznia

Disney
MUPPETY
w kinach od 20 stycznia!



© 2012 Disney

już teraz nowe
Środy z Orange
w sieci kin Multikino

Wyślij SMS-a o treści FILM pod numer 241.
Odbierz dwa bilety w cenie jednego
w każdą środę.

Koszt SMS-a zgodny z planem taryfowym.

więcej na www.orange.pl

dziś zmienia się z **orange**

Powrót Sithów



Dawno temu w odległej galaktyce Imperium Sithów wyszło z ukrycia, by zaatakować Starą Republikę i zniszczyć Jedi. „Star Wars: The Old Republic” to portal do tamtej czasoprzestrzeni

OLAF SZEWCZYK

Czy byliście kiedyś świadkami gwałtownej śmierci całych światów? Uniwersów zamieszkałych przez miliony istot?

28 lutego 2009 roku awatary niedobitków ludzkości, walczące o przetrwanie w „Tabula Rasa”, internetowej grze klasy Massive Multiplayer Online, stoczyły ostatnie starcie z kosmicznym najeźdźcą. Była to iście epicka bitwa garstki przeciw nawałi, której nie sposób powstrzymać. Obróćcy wiedzieli, że jutro nie będzie. Wydawca gry zapowiedział definitywne wyłączenie serwerów – dał jednak

graczom szansę honorowej śmierci w boju.

Inna gra gigant, MMO „Star Wars: Galaxies”, zakończyła żywot po ponad ośmiu latach, 15 grudnia ubiegłego roku, pokojowo. Na planetach pod obcymi słońcami wybuchły pożegnalne fajerwerki. W serwisie YouTube można znaleźć wzruszające relacje z końcowych sekund tego świata. Ostatni skok w nadprzestrzeń, rozstania przyjaciół, którzy spędzili razem w grze długie lata, ciepłe słowa pożegnania pod adresem osobistego robota typu R2D2. Serwery „Star Wars: Galaxies” zamknięto, bo na scenę miała wejść lada dzień jeszcze większa gra osadzona w uniwersum

Gwiezdnych Wojen – „Star Wars: The Old Republic”. Pierwszy MMORPG, który ma szansę zachwiać hegemonią „World of Warcraft” – świata zamieszkałego przez awatary kilkunastu milionów graczy, co miesiąc płacących za ten przywilej stony abonament. Jest o co walczyć, bo zyski z samego „WoW” są większe niż budżet niejednego kraju.

Od niemal miesiąca podróżuję między planetami galaktyki „Gwiezdnych wojen”. Walczę po stronie Republiki. Każda ze stron konfliktu oferuje po cztery klasy postaci. Większość wybiera Jedi lub Sithów, ja wcielam się w przemytnika – postać inspirowaną filmowym Hanem Solo.

„Star Wars: The Old Republic” tudząco przypomina większością rozwiązań „World of Warcraft”. Wyróżnikiem jest niespotykana w grach MMORPG silna linia fabularna, osobna dla każdej klasy postaci. Jako przemytnik najpierw tropię porywacza mojego statku, obecnie szukam po całej galaktyce legendarnych skarbów niezującego pirata. Czy są wśród nich unikalne technologie potężnych wymarłych cywilizacji? Czy zdążę przejąć je przed Imperium?

Fabula jest fachowo prowadzona – wciąż ciekawi mnie, co czeka za każdym jej zakretem. To zarazem największa siła i słabość „sw:tor”. Nominalnie MMO, paradoksalnie oferuje najwięcej samotnym graczom. Spotykam awatary innych republikanów, czasami na ziemi niczyjej natknę się na wroga z Imperium i wtędy płynie krew. Głównie jednak włóczę się tylko w towarzystwie sterowanego przez komputer kompana, każdy bowiem dostaje cyfrowego pomocnika (tak, z czasem dołączy do kompanii i futrzasty Wookie). Niewiele jest wyzwań, którym podoła jedynie zgrana drużyna, i nie one są solą rozgrywki. Przede wszystkim nie ma poczucia, że ów świat tętni życiem. Rzadko można spotkać poza bazą wypadową większe grupki innych graczy.

Być może z czasem BioWare poprawi to, co kuleje. Gry MMO mają przecież to do siebie, że nieustannie ewoluują. Obecnie najgłośniejsze ulepszenie wołają źle zaprojektowane walki w przestrzeni kosmicznej. Mimo usterek start jest niezły. Grę kupiło już ponad milion osób. Oby galaktyka Starej Republiki istniała dłużej niż uniwersum „Star Wars: Galaxies”. Koniec świata za każdym razem przyprawia o chandrę.



„Star Wars: The Old Republic”, BioWare, EA, PC – 119 zł, abonament: 59 zł/mies.

Bez ce(n)zury

„Saints Row: The Third” to dyskusyjny pastisz gier gangsterskich

Walka wielkim sztucznym prąciem jako bronią obuchową. Dowcipy poniżej pasa – dosłownie, dotyczące obu stron okolic miednicy. Żywot gangstera jako celebryty, który z taką samą łatwością rozdaje auto-

grafy fanom, jak poskramia wrogów i frajerów za pomocą kul oraz morderczych gazów jelitowych. Wystarczy? Ci, których to bawi, ubawiają się szampańsko. Reszta niekoniecznie.

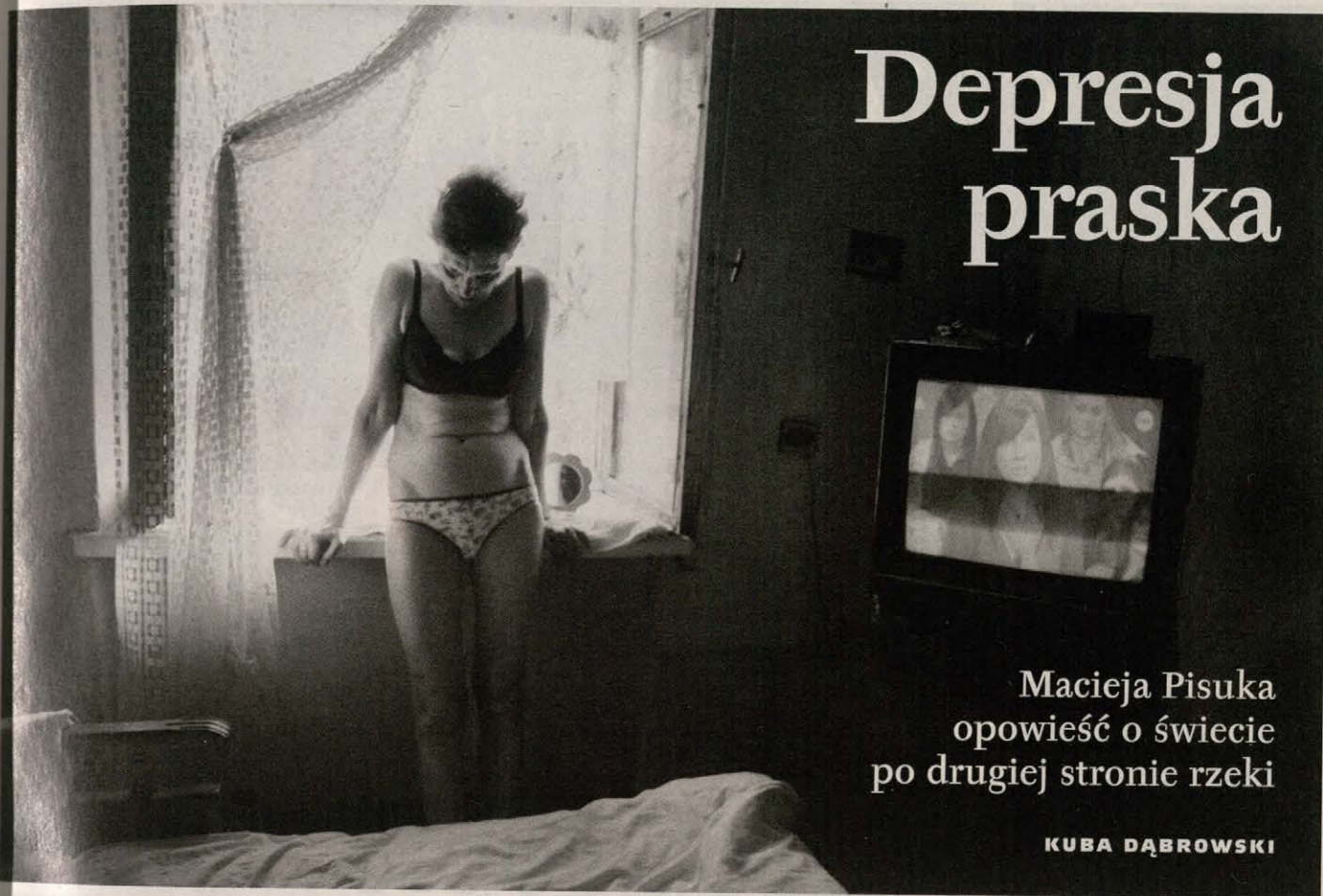
„Saints Row: The Third” jakoby parodiuje gry bandyckie w rodzaju „Grand Theft Auto”. W rzeczywistości chyba, podejrzewam cynicznie, z premedytacją eksploatuje najbardziej durne z mokrych snów przyglądawych szczyli lat około 12. W absurdalnym świecie gry bandycki to gwiazdy popkultury – reklamują produkty niczym słynni aktorzy, piszą o nich brukowce, honorują ich telewizje. Z ich napadów kręci się relacje. Takiego nonsensu nie sposób serwować na poważnie, dlatego wszystko w „Saints Row: The Third”

jest z definicji absurdalnym dowcipem. Zbyt często przyćmiewam, obliczonym na najbardziej niewyszukanym odbiorców. To z oczywistych powodów przeszkadza. Szkoda, bo zdarzają się i niezłe grepsy – bywa, że ryzykowne, ale śmieszne. Problem w tym, jak do nich dotrzeć i czy warto płacić za to cenę permanentnej żenady.



„Saints Row: The Third”, THQ, CD Projekt, PC – 120 zł, X360, PS3 – 220 zł

STOP KLATKA



Depresja praska

Macieja Pisuka opowieść o świecie po drugiej stronie rzeki

KUBA DĄBROWSKI

Warszawa, rok 2002. Maciej Pisuk ma 37 lat, jest scenarzystą – pisze teksty i scenariusze do Teatru Telewizji oraz seriali. Ostatnie dwa lata pracował nad scenariuszem do filmu o legendarnym hip-hopowym zespole Paktofonika. Po skończeniu prac okazuje się, że producent – duży concern medialny – żąda od niego podpisania aneksu do umowy, w którym scenarzysta zrzeka się prawa do kontroli autorskiej nad scenariuszem. Pisuk nie podpisuje. Projekt „Jesteś Bogiem” umiera.

– Dopadła mnie depresja – opowiada Pisuk. – Leki nie działały, trzy godziny zajmowało mi wstanie z łóżka, zupełnie wyłączyłem się ze świata. Siedziałem w wynajętym mieszkaniu na Pradze i przez okno patrzyłem na podwórko.

A na praskim podwórku dzieje się wiele. Ludzie żyją w malutkich mieszkaniach, więc duża część życia przenosi się na zewnątrz. Kobiety prasuja, mężczyźni oglądają mecze, dzieci odrabiają lekcje, wieczorem odbywają się imprezy. Jest na co popatrzeć.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało źle, ale czułem się przegrany i czułem, że ci ludzie, na których patrzyłem z okna, są przegrani tak samo jak ja. Ciągnęło mnie do nich – opowiada Pisuk.

Z pożyczonym od narzeczonej aparatem Pisuk zaczyna wychodzić na podwórko.

– Nie byłem fotografem, ale czułem, że aparat może być przepustką do tych ludzi. Nie czułem dystansu i robiłem rzeczy, których w normalnym stanie pewnie bym nie zrobił – opowiada. – Podchodziłem do stojącej w bramie grupki nastolatków, pytałem, czy mogę zrobić kilka zdjęć, i zostawałem pogadać.

Między Pisukiem a mieszkańcami Pragi rodzą się prawdziwe przyjaźnie. Z czasem rodzi się też miłość do fotografii. Wywołuje klisze, studiuje historię gatunku, wysyła zdjęcia na konkursy, zaczyna wystawiać.

– Nauczyłem się robić zdjęcia, ale nigdy nie poczułem się fotografem. Opowiadał historię. Czasami przy pomocy scenariuszy, czasami zdjęć. Pisuk wychodzi z depresji, ale swojego fotograficznego tematu nie zmienia – w Pragę wgryza się coraz głębiej. Dociera

do intymnego poziomu, na który nie zszedł prawdopodobnie jeszcze żaden dokumentalista. Fotografuje ludzi w domach, w bardzo prywatnych sytuacjach.

Przy każdej okazji podkreśla, że bohaterowie zdjęć to jego znajomi lub przyjaciele. Pokazując prezentowany obok kadr, mówi: – To Ela, moja przyjaciółka z ulicy Brzeskiej. Przyszedłem do niej późnym letnim popołudniem. Ma pokój na ostatnim piętrze, jest tam szczególnie gorąco. Był upał, Ela była w bieliźnie, leżała na sofce, oglądała telewizję. Gadaliśmy, leżała na sofce, oglądała telewizję. Często jest tak, że Ela zwierza się, czasem żali. Opowiada o córce. O mężu, który zginął w wypadku rok po ślubie. O swojej matce, która mieszka na wsi. O tym, co się wydarzyło u niej, u sąsiadów itp. Potem zrobiłem jej kilka zdjęć. Kiedy wstała, żeby ściszyć telewizor, poprosiłem, by przystanąła przy oknie. Zaprosiłem ją na wystawę do CSW. Na wernisażu się nie pojawiła. Potem byłem u niej kilka razy, na drzwiach wisi kłódka. Sąsiedzi twierdzą, że pojechała do matki.



Lubię nosić futro

MODA

CIEKAWSZA STRONA KOBIECOCI

kobieta.wp.pl

RACZKOWSKI NA KONIEC



TWÓJ PRZEKRÓJ



Zdolny i miodny (duchem, a nawet ciałem) Czelejniku. „Twój Przekrój” to miejsce dla Ciebie. Wyślij nam swoje prace i pochwali się. Najlepsze opublikujemy. Czekały na www.przekroj.pl oraz pod adresem twoj@przekroj.pl, a także na Facebooku - Fan Page „Twój Przekrój”

RETROSPEKcja

GRZEczNOŚĆ I STYL

W numerze 306 „Expressi wieczornego” w artykule „Obiad w 2 minuty” czytamy:
Upłynęły dwie minuty. Kucharz wyjączy praż i otwari pokrywę garnka. Mięso było zupełnie miękkie. Apetyczna, przetratała strukturem, aż się prosiła, by ją połogić na polmisek. Ach, jaka grzečna!
(Nudestet: W. Łukasik)

*PRZEKRÓJ, 7.16 STYCZNA 1955 R.

MYŚLINIK KRYSZTOFA BILICY

Czy teorie spiskowe zrealizowano kiedyś w praktyce?



W ciemności
(dramat bez happy endu)
Występuje
POTENCJALNY WIDZ
- młody, wykształcony, z dużego miasta
POTENCJALNY WIDZ:

(chłonie ekstatyczne opinie na temat filmu w prasie liberalnej, pędem wybiera się do kina, tuż przed multipleksem, tknięty niejasnym przeczuciem, nabywa tygodnik „Lwazam Rze”, z przerażeniem dowiaduje się, że tym film również się podobał, w związku z czym - zdezorientowany i pozostawiony sam sobie - postanawia na wszelki wypadek natychmiast wrócić do domu)
KURTYNA opada z rozgoryczaniem.

ROMAN KURKIEWICZ

Wszyscy będziecie szelkami łupkowymi

LEWO MYŚLINIE



Ale zanim to się stanie, trzeba zadać sobie kilka pytań. Aresztowanie podejrzanych o korupcję przy przyznawaniu koncesji na wydobycie gazu są taką okazją

C ale moje szkolne dzieciństwo przykrywał cien wielkiej chwały węglowej - jesteśmy potęgą wydobywczą węgla kamiennego, czarnego jak węgiel. Dziś nadchodzi pieśń o gazie łupkowym. To już nie pieśń, to niemal hymn narodu, wy, co dziwniejsze, wybrzmiewający w milczeniu. Zmiany ustawy o prawie górniczym i geologicznym, które po podpisaniu przez prezydenta weszły w życie 1 stycznia tego roku, musiały zachwycać międzynarodowe (polskie też, ale globalnych jest większość, więc i radość skumulowana) koncerny, które już otrzymały najłatwieższe na świecie koncesje. Oczywiście, jeśli oskarżenia o łapówki przy ich przyznawaniu okażą się potwierdzone, to doskonale rozumiemy, że prawdziwy koszt koncesji dla wydobywców był wyższy od polskich cenników.

Kiedy z naszego kranu kapie kropla wody, kiedy kupujemy najmniejszą butelkę wody w sklepie - płacimy za nią. Woda, niezbędna do wydobycia gazu łupkowego metodą szczelinowania, na którą zapotrzebowanie wynosi miliony metrów sześciennych, została łupkożercom oddana ZA DARMO. Dlaczego? Zmiany zapisów idą dalej. Za szkody wyrządzone podczas odwiertów i ewentualnego wydobycia koncesjonariusze nie ponoszą żadnej, w tym finansowej, odpowiedzialności. Dlaczego?

Nie odbyła się żadna publiczna debata na temat konsekwencji wydobycia gazu łupkowego dla środowiska naturalnego, choć większość rozwinętych krajów europejskich, mając podobne złoża, decyduje się z powodu zagrożeń lub niewiadomych na moratorium na jego wydobycie. Podobnie jest w stanie Nowy Jork. W Polsce odbywają się zamknięte konferencje mające legitymizować cały proceder. Równocześnie głos sprzeciwu społeczności lokalnych, od Lubelszczyzny po Kaszuby, pozostaje niesłyszalny. Nowe prawo ułatwi też wywłaszczanie mieszkańców, często skrajnie ubożych, na potrzeby wydobycia. Koncerny rozpoczynają próby pozyskiwania zyciowości mieszkańców. Tu wójtowi kupią skrzynkę piwa, tam znajdą rodzinę, w której jest ośmioro dzieci, i zaproponują jej parę groszy. Powinny się na szczęście, obok np. dotychczasowych tekstów byłych (byłych?) oficerów wywiadu, piensze poważne, krytyczne analizy polskich naukowców w kwestii wątpliwości co do samych wydobyczych. Sen o łupkowej potęgze dla każdego Polaka przymknął nam oczy, zasłonił uszy i usta. Do czasu.

intel inside™

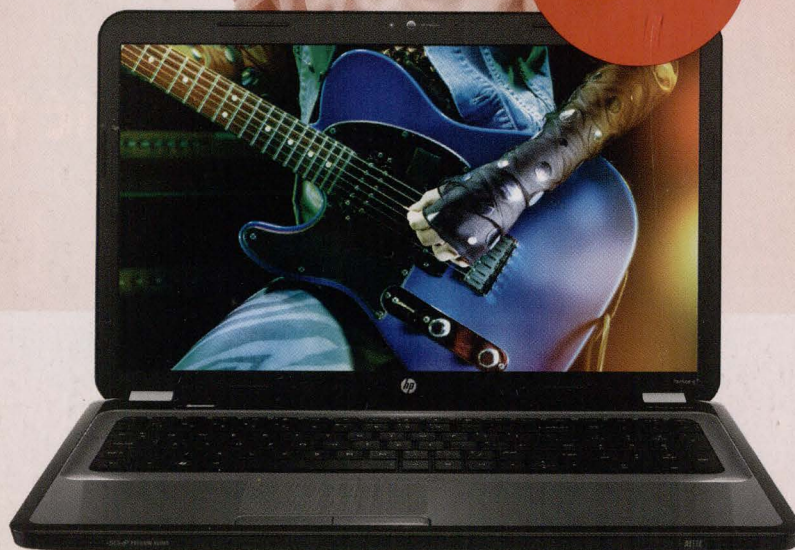
CORE™ i3

Zauważalnie
Inteligentny



Klasyfikacja procesorów

wszystkie chwyt
dozwolone




Wejdź do sieci, uporządkuj i pokaż innym swoje zdjęcia, porozmawiaj z rodziną, zrób zakupy lub załatw jakieś drobiazgi. Niezależnie od tego, czy chodzi o pracę, czy rozrywkę, możesz szybko skorzystać z najważniejszych codziennych funkcji.

HP Pavilion G7-1210sw

Z procesorem Intel® Core™ i3-2330M

2099,-

SFERIS

Everybody On 

więcej nowości HP w sklepie internetowym **SFERIS.PL**